

379/b

W ZARANIU

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Z. Milkowskiego).

TOM II.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J Sikorskiego, Warecka 14.

1898.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 9 Сентября 1898 года

Podczas kiedy się te, któreby przygotowawczemi nazwać można, czynności w Ruszczuku odbywały, na półwyspie Bałkańskim ukazywać się poczęły symptomata gorączkowe, znamionujące chorobliwość państwa Otomańskiego. Narody słowiańskie tu i owdzie do oręża się rwały. Oddziaływało to na Bulgarów, wywołując tu niepokój oczekiwania, gdzieindziej zawierzywania stowarzyszeń tajemnych i obradowania. Rzecz naturalna, że Ruszczuk nie mógł pozostać w tyle, posiadając żywioł ruchu i zaczyn taki, jak skojarzony z Piotrem, Stojanem i Nikołą.

Nikoła się niecierpliwił. Dla niego wszystko, co się robiło, żółwim szło krokiem. Stojan jeździł do Bukaresztu, widział się z wybitniejszymi osobistościami obozu skrajnego i urządził kontrabandę druków na wielką skalę, to jest: nie, jak dotychczas po egzem-

plarzy kilka, starczących zaledwie na Ruszczuk i miast pobliskich parę, ale pakami całemi. W celu tym zużytkowana została galerya. Paki rybak w czólnie nocą podwoził, na brzeg u stóp urwiska wylądowywał i przyczepiał do haka, który tam na końcu powroza wisiał. Paka do góry się wznosiła i na środku spadku urwiska znikiała. Szło to doskonale;—pisma krążyły w ilości znacznej i rozchodziły się po kraju, po miastach i po wsiach. Mimo takie rozszerzenie pism, komitet uznał działanie to za zbyt powolne i rzucił pomysł „apostolstwa.“ Pomysł ów przywiózł Stojan wraz z wiadomością, że jest on już w życie wprowadzony w Rumelii. Wypadła ztąd potrzeba narady, której uczynienie zadość napotkało trudności niejakie. Rzeczą najprostszą było zgromadzić się w domu baby Mokry. Ale się temu oparł Piotr.

— Chyba, iżby się nie znalazło miejsca innego u kogoś, na kim nie ciąży podejrzenie żadne.

— U hadzi Christa — odezwał się Stojan. — W domu jego zajmuję izbę osobną.

— Nie możnaby w ogrodzie? — zapytał Nikoła.

— W ogrodzie... nie—odparł Stojan.

— Gadaliśmy tam przecie ze Stankiem.

— We trzech co innego. Nas się zbierze ilu?...

Nikoła na palcach obliczać począł, naliczył siedmiu.

— Niech schodzą się po jednemu... przypadkiem niby, wynajdując każdy pretekst jakiś.

Stojan wyznaczył dzień i godzinę i Nikoła ruszył wnet, celem zawiadomienia wezwanych.

Wybór miejsca dogadzał mu. Liczył na to, że na Ilenkę bodaj popatrzeć będzie mógł. Z żywą niecierpliwością oczekiwał schadzki i gdy pora nadeszła, stawił się najpierwszy, tak dalece najpierwszy, że Stojana nawet jeszcze nie było.

— Ja do Stojana — rzekł do służebnej, co go spotkała.

— W domu go niema.

— Poczekam.

— Czekał.

Służebna otworzyła dla niego izbę, w której z Ilenką po raz ostatni rozmawiał i drzwi otwarte zostawiła. Nikoła miał na nie oczy zwrócone. Przede drzwiami przesunęło się osób kilka, jej nie było. Wreszcie, nagle na progu się zjawiała.

— A?... — odezwała się głosem, zdradzającym zdziwienie.

— To ja — odparł Nikoła.

— No widzę — rzekła z uśmiechem, od którego się chłopcu słodko zrobiło. — Czy przychodzisz w interesie jakim, czy nie?

— Do Stojana.

— Nie wiem, czy jest.

— Niema go, ale ja poczekam, aż nadejdzie, mam bowiem do niego interes bardzo pilny.

— Nadejdzie niebawem zapewne.

Dziewczynie wypadało opuścić interesanta, zgłaszającego się nie do niej. Nie oddalała się jednak. Coś ją przytrzymało. Że zaś owo coś upozorować należało, zapytała przeto:

— Toś ty abadžijstwo rzucił?...

— Rzuciłem.

— Wolaleś handel?

— A!... Wszystko mi tam jedno: krawiectwo, kowalstwo, kotlarstwo, handel. Czek zarabiać musi, ażeby z głodu nie zmarł.

— Cóżbyś wołał najbardziej?

— Co jabym wołał?... hm?... Zachciało mi się było raz łabędziem być.

— Żartujesz...

— Nie... Było to tej niedzieli, kiedym do ciebie przychodził wedle czaszy stłuczonej. Odszedłem, nad Dunajem usiadłem, łabędzie zobaczyłem i tak mi się zachciało... w łabędzia zmienić.

— Cóżby z tego było?

— Dobrzeby było. Przylatywałbym do ciebie do ogrodu: tybyś siedziała, a jabym obok ciebie stanął i w oczy tobie patrzył. Mnie, łabędzia, nie odpędziłabyś.

Dziewczyna słuchała i przy słowach ostatnich w oczy chłopcu spojrzała.

— Dawniej tak bywało—dodał Nikoła.

— Jak bywało dawniej?—zapytała.

— Niejaki Jowisz w łabędzia się zmieniał i do królewny, co się Leda zwała, przylatywał.

— No i cóż?

— I ona... A!...—przerwał sobie—to bajka.

— To nic. Bajkę mi opowiedz.

— Innym chyba razem. Jam o tem w książce jednej czytał, alem zapomniał.

— Nie mógłbyś mi książki tej dać, ażebym ją przeczytała?

— Francuska.

— O...—ramionami wzruszyła.—Chciałabym się po francusku nauczyć.

— Nauczyłbym ciebie, ale ja sam umiem niewiele.

— To się naucz dobrze.

— Gdybym to czas miał. Tyle mam teraz do roboty, że i do czytelnicy rzadko kiedy chodzę... A—dodał—będzie roboty więcej jeszcze.

— Jakiej roboty?

— Hm... jakiej?... Może Pan Bóg da, że wojownikiem bułgarskim zostanę.

Ilenka coś na to odpowiedzieć chciała, lecz nie powiedziała. Ku niemałemu Nikoły zdziwieniu odwróciła się nagle i odeszła. W chwilę po odejściu jej nadszedł Stojan. Czyżby to on ją spłoszył? Nikoła by go o to zapytał był może, gdyby nie obecność jednego z wezwanych młodych ludzi, który Stojanowi towarzyszył.

— Tyś już tu?...—odezwał się Stojan.—Spieszno ci było.

I na odpowiedź nie czekając, na schody wszedł, tak, że Nikoła czasu nie miał zdać przed nim sprawy z konferencji z dziewczyną. W izbie Stojana sposobności już ku temu nie było. Izba ta wyglądała, jak wszystkie inne: szafy i sofy, na podłodze rogowka, różniła się jeno tem, że znajdował się w niej stół i stołków dwa, stanowiących świadectwo zenropeizowania się mieszkańca. Potrzebą stołu i stołków zaraził się Stojan w Bukareszcie i, ulegając onej, gości swoich na sofie posadził, sam zaś usiadł na jednym ze stołków. Zaledwie miejsce zajął z wezwanych

nadeszło dwóch, wnet po nich jeszcze jeden, w końcu zjawił się Piotr i zgromadzenie znalazło się w komplecie.

Obrady zagaił Piotr, wzywając Stojana, ażeby opowiedział, co w Bukareszcie słyszał.

— Słyszałem... ot co... — odrzekł zagadnięty:— że się należy do *ustanku* sposobić i tak zrobić, ażeby się on na raz jeden dokonał w całej Bulgarii, Rumelii i Macedonii... Do tego potrzeba, ażeby każdy Bułgar o tem z góry wiedział i przygotowywał się na dzień oznaczony...

— Na który — zapytał Nikoła.

— Dzień się oznaczy później... Najprzód się przygotować należy, a tego dokazać nie można bez zawiadomienia wszystkich, tak po miastach, jak po siółach...

-- Napisać wszędzie... — podchwycił Nikoła.

Piotr ręką machnął, a Stojan odpowiedział:

— Była o tem mowa, ale w naszym kraju mało kto czyta, ten zaś kto czyta, niewiedomo czy jest człowiekiem pewnym i ochoczym... Są tacy, co pismo dostaną i mudirowi zanoszą...

— Prawda — rzekł Nikoła.

— Potrzeba więc apostołować: oto, co uradzono.

— I zobowiązania brać... — dodał Piotr.

— Przysięgę... — odrzekł Stojan — wedle postanowionego *za narodnité gorski czeti* prawa... Oto prawo... — dodał, wyjmując z zanadrua we czworo złożony, z dwóch stron zapisany i w pieczęcie zaopatrzony, arkusz papieru.

— Czytaj... — odezwał się Piotr.

Stojan czytać począł skrypt, zawierający w artykułach szesnastu przepisów, tyczące się organizacji oddziałów powstańczych, pod dowództwem i za staraniem wojewodów i *bajraktarów* (chorążych). Wedle przepisów tych, gmina każda powinna była czetę wystawić, a zatem posiadać wojewodę i bajraktara—chodziło o wyszukanie w gminie każdej ludzi dwóch, którzyby zechcieli zadania tego się podjąć i którymby można je powierzyć. Na pozór — w teorii — wydało się to rzeczą do skutecznienia łatwą, zwłaszcza że czytanie wzbudziło w słuchaczach entuzjazm, który się spotęgował, gdy usłyszeli rotę przysięgi, brzmiącą w oryginale, jak następuje:

„Zakliwam sa dnies' pred Boga na czestnija kręst) i na swiatoje blagowiestuowanie, cze szcze uderza i spętnu wsiczkite swiati obrazannosti, koito mi sęobszczicha i czetocha w zakona. Śvietloto slęnce nieka będi swidietel na mojatu smętna kletwa; a chra-brite junaci s ostrite si nożowe da będet moi kaznite-li w mojeto presteplenie.“*

(Zaprzysięgam dziś przed Bogiem na czesny krzyż i na świętą ewangelię, że utrzymam i wypełnię wszystkie święte obowiązki, które mi udzielono i czytano w ustawie. Jasne słońce niech przyświadczy przysiędze mojej, a waleczni junacy ostremi nożami niech mnie za przestępstwo ukarzą.)

*) „E“ w języku bułgarskim w wymawianiu trzyma środek pomiędzy „e“ nosowem a „u“ nosowem i „y“ nosowem. Na wyrażenie dźwięku tego Bułgarzy do alfabetu swego wprowadzili literę osobną, podobną do „izy“ cerkiewnosłowiańskiej.

— Ja przysięgam zaraz!... — wyrwał się Nikoła.
I ja!... i ja!... — podchwycili inni.

— To dobrze... — odparł Piotr — jam przysięgał i Stojan przysięgał, więc my możemy od was przysięgę odebrać, potrzeba jeno krzyża i ewangelii... Krzyż się łatwo znajdzie, ewangelii się nam wystara Stauko... pójdziemy na cmentarz i na grobie męczenników naszych przysięgi dokonacie... Nim to jednak nastąpi, poradzić się nam trzeba wedle apostołstwa...

— Co tam się radzić! Ja idę... — Nikoła na to.

— I ja!... i ja!... — podchwycili inni.

— Piotrowi jeno iść nie można... — zauważył Stojan — z powodu zwróconych na niego oczu paszy, agi i Turków wszystkich...

— O! tak... — potwierdzili wszyscy jednogłośnie.

— Przytem — wtrącił Nikoła — wszystkim nam się z Ruszczuku rozchodzić nie wypada i tu bowiem jest do czynienia niemało...

Była to aluzja do galeryi, o których wśród obecnych, z wyjątkiem Piotra i Nikoły, nikt nie wiedział.

— Niech tak będzie... — zabrał głos Piotr. — Temu się nie sprzeciwiam... Zrobię wam jednak uwagę jedną... Wybieracie się na apostołkę wszyscy, a czy każdy z was podola?

— Jakto? — zareplikował jeden. — Cóż w tem trudnego?...

— Gdzieś się urodził? — zapytał go Piotr.

— Tu... w Ruszczuku... — była odpowiedź.

— To znaczy: w mieście... I wychowałeś się?

— W mieście... — odparł zapytany.

— Ty przeto na wsi pomiędzy sielakami nie będziesz wiedział, jak się obracać... A ty? — zapytał drugiego.

Pokazało się, że i ten drugi był także mieszczaninem, równie jak trzeci i czwarty. Zapytany z kolei Nikoła odpowiedział:

— O! ja... urodziłem się wprawdzie w mieście, ale od małości wdawałem się z owcami i sielakami... Śród nich rostem...

— A ty?—do Stojana się zwrócił.

— Jam się na wsi urodził, w mehanie wychował i dziś, gdybym się tylko po wiejsku przeodział, sielacy aniby się domyślili, żem się w Bukareszcie uczył...

— Wy dwaj więc tylko iść pomiędzy naród możecie, tembardziej, że chodzi przede wszystkim o próbę... o próbę, od której wszystko zależy... Gdy próba wypadnie dobrze, wówczas naprzód śmielej pójdziemy... Wiecie, co *zakon* każe...

— Czytaliśmy...—odpowiedział Nikoła.

— Przeczytamy raz jeszcze... na cmentarzu jutro o wschodzie słońca... A teraz z Bogiem.

Rozeszli się. Nikoła tak się dalece tem, co usłyszał, przejął, że o Ilence zapomniał. Ze schodów zbiegł i na ulicę popędził. Uszedłszy kroków paręset, przypomniał sobie o niej, a właściwie przyszło mu na myśl nagłe jej odejście, które go zdziwiło i którego przyczyna była dla niego zagadką. Zapragnął zagadkę tę rozwiązać; lecz pragnienie to wypchnęło mu z głowy myśl o apostołstwie, która znów myśli o zagadce ustąpiła, ale ją wnet zneutralizowała i w końcu ulokowała w jednej z dalszych komórek mózgowych

w rodzaju zapytania, zaznaczonego, lecz odłożonego do czasu sposobniejszego. Obecnie umysł jego zaprzętało co innego. Wyobrażnia nasuwała mu przed oczy cztery junacze, okrywające krainę nakszałt tego, jak owce okrywają pastwiska. Przed każdą wojewoda, przy każdej bajraktar; proporce z wiatrem igrają; dusza młodzieńca rozpyływała się w rojeniach cudnych, któremiby pragnął podzielić się z kimś. Z kimże?... Tego mu jeno brakło do zupełnego w chwili tej zadowolenia.

Podzieliły się z Piotrem; cóż jednak? Piotr wydał mu się dziwnym, z powodu, że, powróciwszy od Stojana, zasiadł przy księgach i wziął się do rachunków, jakby nie zaszło nic, coby mu dodawać i odejmować przeszkadzało. Pisał, rachował i w ciągu roboty zawołał:

— Nikoła, bre!

— Eh? — odezwał się.

— Zważno czerwicz wszystek, jaki w sklepie mamy, bo mi tu jakoś do rachunku nie dochodzi.

Rzekł to i rachował dalej. Nikoła się do ważenia wziął i do końca trafić nie mógł. Raz waga trzymać się nie chciała; znów na bezmianie kreski mu się w oczach dwoiły i liczba ók wypadała rozmaicie. Próbował po razy kilka. Ktoś z kupujących wszedł i pieprzu zażądał; on dla niego cukru odważył. Kupujący odszedł. Nikoła do bezmianu wrócił i ledwie nieledwie z zadania się wywiązał. Piotr zaś swoje robił, jak gdyby się nic osobliwego nie trafiło.

Robotę przerwał mu urzędnik z konaku, Aristarchi-bej, jeden z tych, co to pełnią funkcyę oczu

podglądających, funkcję niekoniecznie zaszczytną, lecz niezmiernie potrzebną tego rodzaju, jak turecki, rządowi. Na widok jego Nikoła zęby zacisnął. Piotr się do niego uprzejmie uśmiechnął, obok siebie posadził, kawą i cybuchem potraktował i zawiązał z nim rozmowę poufną, o czym? o komitecie rewolucyjnym.

— Znasz członków?—zapytał Aristarchi-bej.

— Znam ich trochę. Bywałem przecie i bywam w Bukareszcie — odpowiedział Piotr tak swobodnie, jakby komitet ów nie obchodził go zgoła.

— Zgłaszali się, rzecz prosta, do ciebie.

— Naturalnie. Komu bracia taką, jak mnie, reputację zrobili, do tego się nie zgłosić nie mogli. Ale się im raz na zawsze okupił.

— Drogo?

— Pięć dukatów.

— Hm? To tanio. Mnie oni kosztują drożej. Płaciłem im haracz długo i oni się długo niczego nie domyślali, aż... krak... razu pewnego wpadł im w ręce wypadkiem list i skończyła się przyjaźń nasza. Gdyby nie to, byłbym członkiem komitetu.

— Ij...—machnął Piotr ręką od niechcenia.

— W Stambule jednak robią sobie z tego wielkie rzeczy.

— Może rzeczy te robić potrzebują.

— Zapewne — odparł Grek.—Polityka, dyplomacya, z muchy słon. Czytałeś — zapytał — ostatni organu ich numer?

— Zkąd!—odparł Piotr, ramionami wzruszając.

— Pokażę ci.

Rzekłszy to, wydobył Aristarchi-bej dziennik z kieszeni i pokazał go Piotrowi.

Piotr okiem rzucił. Poznał pismo, był to bowiem jeden z egzemplarzy dziennika, którego paka spora przez jego przeszła ręce. Nie zdradził się atoli ani powieki drgnięciem.

— Chcesz przeczytać? — zapytał Grek.

— Owszem.

Pismo wziął, oczami je przebiegł i oddając, rzekł:

— Mogliby nareszcie coś nowego pisać, a to wciąż jedno i jedno, nieudolne niemieckich i francuskich w tym rodzaju pism naśladowanie. Im się zdaje, że piszą, a oni przepisują. To się — zapytał — w konaku prenumeruje?

— Uhm — odparł Grek, jakby zapytaniem tem zmieszany trochę. — Tak, w konaku się prenumeruje; ale egzemplarz ten nie z konaku.

— Dochodzi ciebie wprost?

— Nie. Dochodzi mnie drogą pośrednią, ale radbym odbierać wprost.

— Zgłoś się do redakcyi.

— Wolalbym się do niej nie zgłaszać.

Piotr rozumiał i Nikola, z boku słuchając, zrozumiał, o co Aristarchi-bejowi chodziło. Usiłował podejściem nitkę uchwycić i nie mógł dokazać tego. Piotr się na baczności miał, złapać się ani na skinienie żrenicy nie dał i zachował względem Greka do końca uprzejmość, niezamąconą niczem. Użał się przed nim, że interesa w nieładzie zastał i wielką ma trudność z zaprowadzeniem porządku. Użał się atoli od niechcienia, tak, że się w tem maski domyslać nie

było można. Nikoła podziwiał pryncypała swego, co tak zimną krew zachowywać umiał. Przykład ten i na niego oddziałał. Począł kupującym, co pieprzu żądali, pieprz—co po cukier przychodzili, cukier i t. p. dawać. Umysł jego stopniowo do równowagi powrócił i spokojnie już wieczora doczekał. Nad wieczorem Piotr sklep opuścił, a gdy słońce zaszło, Nikoła pieśniadze, w ciągu dnia utargowane, zabrał, okiennice i drzwi pozamykał i do domu się na wieczerzę udał. Do wieczerzy zasiadał z babą Mokrą, z Anką, z Piotrem i z domownikami. Była to chwila, w której po-krzepienie sił poprzedzało wypoczynek, praktykowany na sposób turecki. Nazywa się to *rahat*, który polega na tem, że mężczyźni, kurząc fajki, popijają raki i drzemią, niewiasty zaś usuwają się na pogadankę wieczorną. Z mężczyznu nie było kogo innego, tylko Piotr i Nikoła. Fajki, a raczej papierosy oni kurzyli, ale raki nie pijali i zazwyczaj z nimi pozostawała baba Mokra. Rahaty wieczorne upływały im na rozmowach o tem, co ich najżywiej obchodziło. Powtórzyło się to i wieczora tego. Rozmowę zagail Piotr.

— No — zaczął — przyszedł od komitetu rozkaz, ażeby apostołowanie prowadzić.

— Co za apostołowanie? — zapytała.

Piotr rzecz jej wyłożył.

— To to samo, co Baczo-Kiro robi — odpowiedziała.

— Baczo-Kiro? — Piotr na to.

— Nie słyszeliście o nim?

— Nie.

— Baczo-Kiro chodzi po świecie w odzieży sie-lackiej i rozpowiada o Bulgaryi.

Baczo-Kiro (postać historyczna) karierę swoją rozpoczął nauczycielstwem; lecz, party żądzą służe-nia krajowi, szkołę opuścił i „z fajeczką w zębach, z torbą przez plecy, w habie na ramionach“, *) cho-dził od wsi do wsi, od miasta do miasta i nauczał. W sposób ten obszedł całą Bulgaryę dunajską, Ru-melię, Trację, Macedonię, był w Belgradzie, gdzie mu prezes gabinetu posłuchanie dawał; w Bukareszcie, gdzie się z komitetem rewolucyjnym znosił; w Caro-gradzie, gdzie u Sławejkowa w gościnie pozostawał. Torba służyła mu za archiwum; nosił w niej zapiski własne, których część znaczną stanowiły tworzone przezeń w języku bułgarskim i tureckim poezye, pi-sane kirylicą:

„Bęlgaria togas szcze rozumiej,
Koga za swoboda małko kręw sa prolej,
No to, szcze będę togaz,
Kogato nie szcze da widie az!
Boże! daj mi oszcze, da poźiwieja,
Za miła swoboda kręw dasi proleja.“

(Tego miej za Bulgara, co za swobodę krwi swojej trochę przeleje. Ale tego widzieć nie będę. Boże, daj mi jeszcze pożyć i za miłą swobodę krew moją przelać.)

*) „Czetite w Bólgaria“ p. N. Stojanowa, 1885, Filipopolsi.

Poeta z niego nie był tęgi, był jednak postacią charakterystyczną i oryginalną, wcieleniem żywym bezwzględного poświęcenia się idei odrodzenia ojczyzny.

O tej to postaci baba Mokra opowiedziała synowi i Nikole.

— A to tak, jak on, poczynąć potrzeba — podchwycił ten ostatni — w habę się przeodziać.

Uwaga ta znalazła uznanie zarówno Piotra, jak baby Mokry.

Rozmowa pociągnęła się jeszcze chwil kilka i zakończyła się rozejściem się do spoczynku. Odchodząc, Piotr rzekł Nikole:

— Ewangelia jest.

Nazajutrz, gdy słońce poczynęło na powierzchnię wód dunajskich rzucać od wschodu odblask złotawy, na cmentarz chrześcijański weszło, jedna po drugiej, siedem postaci, z których żadna pozorem spiskowca nie zdradzała. W czynnościach tego rodzaju Bulgarowie ustrzegli się formalistyki i symbolistyki wieków średnich. Nie przywdziewali tog ani znaków szczególnych, nie przybierali haseł, nie otaczali się tym mistycyzmem, z którego romantyzm urósł, pomimo, że przyświecała im wiara, z którejby się wytłómaczyć nie umieli. Wierzyli w słusność sprawy własnej i w tryumf słusności i szli na oślep. Siedem postaci na cmentarzu o wschodzie słońca się zeszło: byli to ci sami, którzy w mieszkaniu Stojana obradowali.

Zgromadzili się na nieporośłym jeszcze trawą grobie Dragana. Na grobie tym leżała płyta ka-

mienna, na której napis miał być wyryty wówczas dopiero, gdy Stanko go ułoży. Stankowi szło opornie z tej racyi, że pamięć młodzieńca chciał uczcić rymami. Nie składało mu się to. Baczo-Kiro byłby sobie poradził; on nadaremnie myślał i rymów szukał, dlatego płyta pozostawała gładką i na płycie tej Piotr rozłożył ewangelię i ustawił krucyfiks z drzewa hebanowego. Do przysięgi było pięciu. Tych pięciu stanęło szeregiem, z obliczami, do wschodzącego słońca zwróconemi, i w obliczu słońca na krzyż i Ewangelię zaklęli się, wedle odczytanej głosem dobitnym przez Piotra rotę przysięgi. Odbyło się to bez ostentacyi, uroczyście jednak. Rzecz zakończyła się na tem, że każdy z nowoprzysięgłych przeżegnał się, krzyż i księgę świętą ucałował i odstąpił z takim uczuciem, jakby w nim zmiana zaszła. W gromadce tej zapanowało usposobienie modlitewne. Po złożeniu przysięgi wszyscy milczeli, głowy pochyliwszy, czekali aż się kto pierwszy odezwie i byliby czekali może długo, gdyby nie nadejście niespodziane baby Mokry. Zjawiła się nagle, nadbiegła, w oczach jej świeciło zdziwienie; spojrzeniem po ludziach młodych powiodła i zapytała:

— A wy tu... co robicie?

— Przysięgali — odrzekł Piotr, oczami na Nikołę i innych wskazując.

— A... — odezwiała się — na co?... nie pytam.. wiem... Niech wam Pan Bóg błogosławi.

— Zkądżeś się tu, majko, wzięła? — zapytał syn.

— Ja tu co rano przychodzę... — westchnęła.

Zobaczyła krzyż i ewangelię, podeszła, przeżegnała się, pocałowała krzyż i księgę, wyprostowała się i na piersi ręce skrzyżowawszy, odezwała się:

— Ja tu z synkiem moim rozmawiam. Jednego mi wydarli. Przez Dragana posyłam na tamten świat modlitwę do Boga, zawsze jedną, a zawsze za Bulgaryę, za którą oni krew młodą przelali. Ofiara taka winna być Bogu miła. Dzieci moje, synkowie moi.

Głos jej łzami nabrzmiał. Nie zapłakała jednak. Pomilczała przez chwilę, stłumiła w sobie łzy, co się jej do oczu cisnęły i rzekła:

— To dobrze, iżeście na grobie Dragana przysięgli... On przysięgę waszą do Boga zaniósł i Bóg was sądzić będzie, gdy o niej zapomnicie. Idźcie z Bogiem, mnie samą zostawcie.

Młodzi ludzie, oddalając się, do niej podchodzili i każdy na jej rękę pocałunek złożył. Ona głowę każdemu znakiem krzyża w powietrzu osłoniła. Było w tem coś uroczystego i do głębi przejmującego, tembardziej, że scena ta odbyła się przy blasku słońca, które promieniami ukośnemi złociło rosę, okrywającą trawy i obwisającą na badyłach. Krople świeciły, niby brylanty. Macierzanki woń mocną ronily. Nad cmentarzem podlatywał z piosnką skowronek, a nad Dunajem i za Dunajem mgły białe się stały. Ostatni do baby podszedł syn i, gdy się ku ręce jej pochylił, ona go dłońmi za głowę ujęła i cicho głosem wzruszonym szeptała:

— Oh! twoja głowa... ta głowa... Bóg się zlituje nademną, sierotą... Ale święta Jego wola... Bądź jednak synku ostrożny...

Przeżegnała go i on za innymi odszedł.

Nazajutrz wczesnym rankiem Nikola w odzieży wieśniaczej wyszedł z miasta drogą, prowadzącą do Szumli. Nikt mu nie przeszkadzał, nikt go nie powstrzymywał. Inaczej jednak rzecz się miała ze Stojanem. Ten, z hadzi Christem związany, nie posiadał całkowitej swobody ruchów. Do Bukaresztu jeździć mu było łatwo, wydalał się bowiem nie na długo i osłaniał pretekstami handlowemi. Hadzi Christo czegoś się domyślał, ostrzegał, lecz głębiej nie wglądał. Obecnie atoli, kiedy mu Stojan oznajmił, że go opuści na dłużej, wyjedzie nie do Bukaresztu i nie dla interesów handlowych, hadzi uważał sobie za obowiązek pomówić z nim.

— Nie bądź głupi... — zaczął. — Człowiek ma na karku głowę jedną tylko...

— Wiem o tem, hadzi — odpowiedział młodzieniec.

— I jeżeli ją stracisz?...

— Jaż ją prędzej czy później stracić muszę — podchwycił. — Nie żyjemy na ziemi wiecznie.

— Zapewne — odrzekł hadzi, pomyślał i dodał: — Wiedz o tem, że esnafu mego nie zabiorę ze sobą na tamten świat i że z esnafem zostanie Ilenka... Rozumiesz...

Stojan hadzemu w oczy popatrzał.

— Cóż? — zapytał ten ostatni. — Idziesz?

— Idę — odpowiedział — i wrócę.

— Wracaj, twoja bowiem będzie wina, jeżeli miejsce twoje zajmie kto inny. Piotr, młodzieniec stateczny, esnafu się trzyma i rachować umie.

Stojana to powstrzymać nie mogło i nie powstrzymało. W dniu odjazdu jego, Ilenka odwiedziła około południa Ankę. Jednem z najpierwszych, jakie jej zadała, pytań, było zapytanie, tyczące się Nikoły:

- Co się z nim stało?
- Nie wiem, odszedł.
- Czy powróci?
- Nie wiem, powróci może.

II.

Po zniknięciu Stojana i Nikoły z Ruszczuku upłynęło miesięcy kilka. W stosunkach, których opowiadanie nasze dotyka, nie zaszła zmiana żadna. Działo się z niemi tak, jak z Dunajem na przykład, który wciąż jednakowo płynął i którego powierzchnia wciąż jednakowo szklila, do słońca połyskiwała i niebo w sobie odbijała, a nikt nie wiedział, czy w głębi na dnie formują się wiry, albo czy piasek łożyska nie zasypuje. Baba Mokra dugiany doglądała i około gospodarstwa domowego się krzątała, Piotr handel prowadził; w domu hadzi Christa życie płynęło trybem zwyczajnym i jeżeli zmiana jaka zaszła, to ta chyba, że się Ilenka częściej niż zwykle zamyślała. Zamyślanie się jednak u dziewcząt nie jest rzeczą osobliwą. Czyż nie mają o czem? Dziewczynie każdej życie w przyszłości przedstawia się pod postacią zagadki, która ją żywo obchodzi. Nie na tem więc nie zależało, że się Ilenka zamyślała „częściej niż zwykle“, tembardziej, że zmiana ta nie zwracała na siebie uwagi niczyjej, ani ojca, ani matki, ani nawet baby Wielki, co ją wyniańczyła. Dzie-

wczyna się z przedmiotem rozmyślań swoich przed nikim nie zwierzała, i tylko — coby mogło kogoś, coby się interesował, na drogę naprowadzić—gdy się z Anką, bądź w domu rodziców swoich, bądź w domu babi Mokry schodziła, niechybnie rozmowę nakręcała na Nikołę. Materyę o nim zawsze nieznacznie a podstępnie wprowadzić umiała. Razu pewnego odezwiała się tak:

— Ojciec odpędził cziraka, tak jak Piotr odpędził Nikołę.

— Czyż go Piotr odpędził? — zaprotestowała Anka.

— Słyszałam, że kradł towar w dugianie.

— Co ty mówisz! -- wykrzyknęła Anka z oburzeniem.

— Słyszałam.

— To nieprawda... Był to momak taki, iżby mu matka hilijadę ghruszy powierzyła. Nie, nie, on w dugianie nie ukradł nic, ani na pariczkę. Nie, nie—protestowała.—Był to momak bardzo dobry.

— Dobry...—powtórzyła Ilenka.

— A... jak cukier...

— Taki słodki...

— Słodki... a taki jak ogień...

— Ty bo go coś bardzo chwalisz—odezwiała się Ilenka tonem insynuacyi.

— Chwałę?... Powiadam jeno, jak było... Co tam zresztą... chwalenie albo ganienie moje...

Anka, która odczuła silnie nieszczęścia, jakie na rodzinę jej spadły, powzięła postanowienie zamknięcia się w klasztorze i dlatego to, co ona o Nikole mówi-

ła, miało w oczach Ilenki wartość wielką. Brzmiała w słowach jej bezinteresowność. Ilenka zręcznie ją wyciągała na opowiadania o chłopcu, o którym ona nie tak bardzo ciekawego do opowiedzenia nie miała. Znała go ze strony służbowej; zasiadała z nim razem do wieczerzy; przysłuchiwała się jego z matką i bratem rozmowom i w rozmowach tych udziału sama nie brała, z powodu, że obchodziło ją co innego. Myśl jej zaprzętał Monaster św. Spasa w Rumunii, do którego się wybierała i do którego jużby się była udala, gdyby to od niej zależało. Matka i brat nie sprzeciwiali się jej wprawdzie, ale powiadali:

— Czekał... namyśl się, żebyś potem nie żałowała.

Anka przeto czekała, namyślała się i w domu pędziła żywot kaługiericy, której przełożona pozwoiliła czas jakiś w rodzinie zabawić. Dziewczyną z różańcem chodziła, modliła się ustawicznie, pościła i martwiła się. W mahale uchodziła za świętą, władyka za taką ją miał; waly (gubernator), który wiedział o domowych baby Mokry stosunkach, uważał to jej córki postanowienie za rodzaj poręki, tyczącej się lojalnego usposobienia rodziny, co dwóch buntowników z łona swego wydała. Poręka stosowała się głównie do Piotra. Piotr się z zapalem interesom handlowym oddał, siostra jego w żywym grobie zamknąć się zamyśla, i paszy się wydało, że w nastroju takim na zamiary przewrotne miejsca niema.

Tymczasem zaś zamiary te nurtowały.

Pięciu sprzysiężonych knowało w głębi, prowadząc poszeptem działalność propagacyjną wśród mło-

dzieży i rozrzucając pisma zabronione w ilości takiej, że był to istny potop. Pisma te nie szły już, jak dawniej, do czytelní, ale zjawiały się, niewiadomo jak i z kąd, w domu, w sklepie każdym, w każdej kawiarni, wszędzie, i to nie nietylko u Bułgarów, ale u Rumunów, Greków, Turków nawet. Dostawały się drogą jakąś tajemniczą, o której wysłedzenie Aristarchi-bej starał się nadaremnie. Odbywały się od czasu do czasu aresztowania, te atoli nie doprowadziły do rezultatów pożądaných, z powodu, że aresztowani równie byli winni, jak sam pasza. I on także pisma dostawał.

Zaniepokoiło to władze; niepokoiło konsulów. Na tych ostatnich wrażenie szczególne wywarła proklamacya pewna, nosząca znamiona wywrotne kosmopolityczne, interesujące zarówno Turcyę jak i państwa inne. Jeden z panów tych z dokumentem w zanadrzu do walego się udał i, po przywitaniu, *corpus delicti* mu pokazał, zapytując:

— Znasz to, ekscelencyo?...

Pasza z pod poduszki taki sam dokument wydostał i konsulowi pokazał.

— Co to znaczy?... — zapytał przedstawiciel mocarstwa cywilizowanego.

— Cywilizujemy się—odrzekł pasza.

— Tak jednak być nie może.

— Czy w Berlinie inaczej?...

Konsul zrazu nie odpowiedział na to; po namyśle krótkim rzekł:

— Gdyby się w Ruszczuku uchwyciło koniec nitki, po końcu tym udałoby się może w Berlinie do

kłębka dojść... Oddałbyś, ekscelencyo, ogromną sprawę porządku przysługę.

Pasza uśmiechnął się złośliwie nieco i odpowiedział:

— Czy nie byłoby właściwiej postępować odwrotnie i końca tej nitki, co się kłębkiem do Turcyi wtacza, w Berlinie szukać?...

— Phi... odparł konsul. — Mieszasz, ekscelencyo, sprawy polityczne europejskie ze sprawą porządku.

— Czy to ma znaczyć, że chcecie ręce umyć?...

— Bynajmniej... Jest to prosta uwaga, którą się ośmieliłem uczynić, celem zaakcentowania gorliwości naszej w służeniu sprawie porządku.

— Obchodzi to równie was, jak nas.—Pasza ramionami ścisnął.

— Czytaj bowiem, ekscelencyo — odezwał się konsul, druk podnosząc i o papier palcami uderzając:— Emancypacya, federacya, republika..! zdaje się, jakby to Polak pisał...

— Ktokolwiek to pisał,—pasza na to—to pewna że Bulgarowie tego nie rozumieją... i nam do utrzymania ich w porządku nie potrzeba czego innego, tylko od czasu do czasu którego powiesić, albo głowę jaką bułgarską na żerdce na pokaz wystawić... Mamy tu w Ruszczuku rodzinę jedną, wzorowo lojalną dlatego, że jeden jej członek głowę swoją na pokaz dał... Potrzeba wystawy tego rodzaju zdarza się w momentach pewnych.

— Moment obecny...—zaczął konsul.

— Jest tym właśnie—podchwycił pasza — co się nadaje do trzepnięcia rai naszej po uszach.. Zuchwalstwo komitetu spotęgowało się... Wydałem rozporządzenia odpowiednie; nakazałem na komitet oblawę... szukamy go po miastach, wsiach, górach, dolinach, w polu.

— Cóżby on miał w polu do czynienia?...

— Nic... — odpowiedział pasza. — Chodzi o wrażenie... Oblawa komitetu nie ujmie, ale ludowi strachu napędzi... komitadżijów narówni z hajdukami, ze złodziejami i zbójami postawi...

— Nikogo więc powiesić nie będzie można.

— Ij... — skinął pasza głową. — Do powieszenia znajdzie się ktoś taki, na którego winy komitetowe zwalić można będzie.

— Trzeba jednak bodaj pozorów — zauważył konsul.

— I te się znajdują, luboćby się bez nich obeszło; że się jednak cywilizujemy, nakazałem przeto Aristarchi-bejowi, ażeby wypracował program reprezentacyi procesu i sądu... Zaproszę na widowisko ciało konsularne... Ufamy... — dodał nie bez złośliwości w akcencie — że widowisko będzie ciekawe.

— Aktorów jeszcze niema.

— Uhm... — mruknął pasza. — Aristarchi bej, reżyser widowiska, ma już tam podobno upatrzonych, dla których oblawa reklamę robi.

Toczyło się to onych rozstawionych po drogach wart, z których na jedną nadszedł Stojan w Kriwieńie. Pod przebraniem wieśniaczem milazim nie rozpoznał w nim agenta komitetu. Stojan się przeodział

i przenocował w mehanie i nazajutrz, skoro świt, wyszedł z ojcem przed mehanę, przed którą pod orzechem spało pokotem rycerstwo sułtańskie. Ten nawet, co na warcie stać i na moście baczyć miał, spał także. Sen go zdjął mimowolny. O drzewo się był oparł, po chwili przysiadł, znów po chwili przechylił się i ani wiedział jak mu się powieki zmrużyły i jak go bezwładność senna opanowała. Na niego, równie jak na towarzyszy jego, słońce, co się z poza widnokręgu wschodniego wychylać poczęło, wpływu nie wywierało. Leżeli, ten na boku prawym, ów na lewym, inny, twarzą zwrócony ku ziemi, i spali. Tylko milazim wywrócił się na wznak, nos wytknął do góry i wydawał nosem odgłosy, podobne do trąbienia, rozłożonego na tony, raz uroczyste, znów przytłumione, znów przyświstujące.

— Ludzieź to? — odezwał się Stojan, przyglądając się zdala widowisku, jakie uspieni rycerze sułtańscy z siebie dawali.

— Gdy śpimy, jesteśmy do nich podobni — odparł Peto.

— Nie w tem, ojcze, rzecz.

— No? — zapytał mehandzi.

— Nasby przyrównać można do zwierzyny, sułtana do łowcy, a... ich?

— Psy, rzecz wiadoma.

— Chciałoby się — rzekł młody człowiek — wziąć jeden z *sziszanów* (karabinów) i każdemu z nich po kolei bagniet pod żebro wsunąć.

— Cóżby ztąd przyszło?

— Byłoby Turków mniej o siedmiu.

— W domu moim niewolno.

— Ha! — westchnął Stojan — jak niewolno, to niewolno, zresztą powiedziałem, ot... dla powiedzenia. Niech sobie śpią zdrowi: mnieby pomyśleć potrzeba o powrocie do Ruszczuku.

Stary głową pokiwał i rzekł:

— Kiedy tu warty stoją, to i w bramach ruszczuckich stać muszą.

— Jeżeli tak śpią, jak te.

Peto głową na znak przeczenia rzucił i odpowiedział:

— Będzie tu za godzin kilka *tatar* (pocztyljon) przejeżdżał, zabierze ciebie; tymczasem zaś zejdziesz mi-lazimowi z oczu.

— Na wieś pójdę.

— Idź na wieś.

— Groźdan w domu? — zapytał Stojan.

— W domu. Ożenił się, wiesz?

— Wiem, wziął Bałkanę.

— I zamieszkał — zaczął Peto, postępując kroków kilka — ot tam, widzisz.

Pokazał palcem chałupę, stojącą u wnijsia do osady.

— Tamże mieszkał Stefan — zauważył Stojan.

— Mieszkał, ale chatę Groźdanowi sprzedał i sam się aż za Biele wyniósł.

W chwili tej słyszeć się dało pod orzechem mru-czenie mocne. Mruczenie to wydał milazim, który, leżąc na wznak, przykrości żadnej ze strony słońca nie doznawał, ale za to obsiadły go muchy. Wybrały sobie one za plac przechadzek oblicze jego, szczegó-

nie zaś okolice nosa i, nie zważając na dmuchanie, ani na kurczenie nozdrzy, podlatywały i znów siadały. Sprowadziły wreszcie mruczenie owe, które na siebie uwagę Peta i Stojana zwróciło.

— Budzi się — rzekł Stojan.

— Nie jeszcze, ale się obudzi niebawem. Muchy przekłete spać mu nie dadzą. Idźże ty już chyba.

Stojan zwrócił się i krokiem powolnym przeszedł przestrzeń, dzielącą mehanę od chaty, do której zmierzzał. Na progu powitało go gospodarstwo, ludzie młodzi, on lat trzydzieści parę, ona dwadzieścia kilka. Była to para dobrana, oboje przystojni; ona zwłaszcza przedstawiała typ niewieściej, po wiejsku pojętej, urody. Hoża, jędrna, jaśniała zdrowiem, postać jej na sobie spojrzenia ludzkie zatrzymywała i patrzącym na nią zadowolenie sprawiała. Stojan powitał ją, jak dawną znajomą.

— Cóż u was słyhać dobrego?

— Wszystko po staremu — odrzekł Groźdan.

— Nie ze wszystkim po staremu — Stojan na to. — W Kriwienie dawniej nizamy nie stawali.

— Bóg by ich pobił — odezwała się kobieta. — Dziś oto kolej na nas jadło dla nich przysposobić.

— Chcielibyście się ich pozbyć?

— Niechby sobie precz odeszli.

— Na zawsze, co? — zapytał.

— Nie płakałabym za nimi, chociażbym ich nie widziała nigdy.

— Chociażby oni z Bulgaryi na zawsze odeszli?

— Z Bulgaryi? — powtórzyła kobieta tonem takim, jakby wyrazu tego nie zrozumiała dobrze.

— Z memlekietu naszego całego — odpowiedział Stojan i jął tłómaczyć, co to jest Bulgarya.

Mówił o granicach, wymieniał rzeki i góry, wsie i miasta, obliczał odległości, opowiadał o narodzie. Kobieta słuchała i od czasu do czasu zdziwienie swoje wyrażała:

— Bre... bre...

— Widzicie przeto, że gdyby jeno naród zechciał a zmówił się, tedyby Turków wyrzucić mógł precz.

Wchodziło to w zakres propagandy, którą prowadził i w której przez czas kręcenia się po kraju tak się wyćwiczył, że z łatwością małżeństwo młode przekonał nie tylko o potrzebie, ale i o możliwości pozbycia się panowania Otomańskiego.

— Trzeba jeno chcieć — prawik — chcieć i ostro się stawiać.

Nauczał tego prozą i wierszem:

„Nie kłaniam sia nizko
Ni pred jedin woł—
A za podlecite
Imam bukow koł.“

(Nie kłaniam się nisko przed żadnym wolem; a na podłych mam kół bukowy.)

Wykład jego mocno Grożdana i Bałkanę zajął. Zasłuchali się, czas upływał, wreszcie kobieta przypomniała sobie przypadającą na nią kolej.

— Ach! — zawołała — a toć już pora zacząć jadło dla nizamów gotować. Zabij ty jagnię — rzekła do męża — a ja po wodę pójdę.

— A ja — odezwał się Stojan — u was w chacie posiedzę, bom nizamom z oczu zeszedł i nie chciałbym, żeby o mnie wiedzieli.

— Usiądź przy ognisku—odrzekł Groźdan.

Stojan do wnętrza chałupy wszedł, gospodarz jagnięciem się zajął, gospodyni z wiadrami wyszła.

Nieobecność jej potrwała nie dłużej nad minut dziesięć. Powróciła i od proga do Stojana przemówiła:

— Nie wiem, ale zdaje się, że jeden z Turków do *kuti* naszej zajdzie. Gdyby nadchodził, stań oto tam.

Palcem wskazała na przybitą wzdłuż ściany żerdkę, na której zawieszona odzież tworzyła zasłonę, mogącą za sobą ukryć człowieka stojącego.

Zaledwie ona wyrazi powyższe wymówiła, na progu ukazał się Groźdan i rzucił dwa słowa:

— Turczyn idzie.

Na te słowa Stojan wstał i za zasłonę się wsunął.

W chwili tej wszedł nieproszony gość, którym był nie kto inny, tylko milazim. Wszedł z cybuchem w ręku i z rewolwerem za pasem, na progu chwilę postął, po wnętrzu izby okiem powiódł, do wnętrza wkroczył i przed kominem miejsce, które opróżnił Stojan, zajął.

— *Hosz gieldy* — pozdrowił.

— *Safał gieldy* — odpowiedział Groźdan.

Turek nałożył sobie fajkę, zakurzył i po chwili milczenia do Groźdana przemówił:

— Wyjdź ty przed chatę i bacz, ażeby do chaty nikt nie wchodził. Gdybyś kogo, dżanem — dodał łagodnie — wpuścił., widzisz?...

Wskazał mu palcem rewolwer swój za pasem.

Groźdan się zwrócił i gdy ku drzwiom szedł, poszła za nim Bałkana.

— Pss — syknął na tę ostatnią milazim. — Ty turkawko, zostań... garnków pilnuj.

— Ależ... ja... — zaczęła kobieta — effendim...

— No... co?

— Ja wyjść potrzebuję.

— Po co?

— Na mnie kolej gotowania dla was jadła.

— Dlatego też zostań... tu... tu... przy ognisku...
o — mówił i palcem pokazywał. — Będiesz gotowała, ja będę patrzył.

Odwrócił się, na drzwi spojrzał, Groždana nie było.

Turek odchrząknął i fajkę kurzył.

Bałkana na środku izby stała, spoglądając z ukosa ku Stojanowi, za odzieżą ukrytemu.

— Czegóż stoisz? — zapytał łagodnie milazim. —
Rób swoje, a ja będę robił swoje.

Kobieta westchnęła i po chwili, na odwagę się zebrawszy, rzekła:

— Ty, effendim, nie miej złych zamiarów.

— Chcesz, duszko, wiedzieć, jakie są zamiary moje?

— Ty wiesz, effendim.

— Wiedźże i ty, bułko piękna. Mam zamiar

z rewolweru mężowi twemu w łeb strzelić w razie, gdybyś mi powolną nie była.

— Boże, Boże! westchnęła kobieta.

— O, widzisz. Idźże do ogniska i nie pokazuj złej woli. Ja ztąd nie wyjdę, póki ciebie nie uściskę. Rozumiesz?

W słowach milazima czuć się dawała ta wola niezłomna, którą Turcy wyrażać umieją w formie łagodnej. Balkana wiedziała, iżby się jej opierała nadaremnie. To, z czem przyszedł milazim, praktykowało się pospolicie i jedyny na to środek zaradczy polegał na ucieczce zawczasu dokonanej. Bułki od napaści tureckiej osłaniało nie co innego, tylko zejście z oczu, co ponieważ nie nastąpiło, rady więc nie było. Obyczaj przytem, jaki się w Turcyi i wogóle na Wschodzie urobił, nie dopuszcza, ażeby kobieta, znalazłszy się w jakibądź sposób w mocy mężczyzny, woli jego opierać się mogła. Nie opiera się onej niewiasta biblijna i w dziesięciorgu przykazań zastrzeżenia co do stosunków płci dotyczą wyłącznie mężczyzn, zabraniając im „pożądania.“ Dlatego to kobiety na Wschodzie zamykają się. Istoty bierne inaczej uchronione być nie mogą od „pożądania“, uważanego w mężczyznach jako prawo bezwzględne, ograniczonem być mogące murami, zaporami, zamkami, nigdy zaś wolą niewieścią. Dlatego Balkana, przez męża odstąpioną, nie widziała sposobu odczepienia się od milazima. Zawadzała jej jeno obecność Stojana. Jak jednak było zaradzić temu? Obecność tę zdradzić bała się. Westchnęła więc i do ogniska przystą-

pila. Gdy się do ognia nachyliła, Turek ją po nogach poglaskał i cmoknął. Kobieta krzątała się, nie zważając niby na to. Milazim karesy powtarzał, przedłużał, rozszerzał; chwilami zaprzestawał i fajkę palił; znów powracał; wreszcie ją do siebie, w pół objawszy, przyciągnął i fajkę na stronę odłożył — i... nagle na kark mu dłoni para spadła i został obok bułki na wznak wywrócony. Stało się to w jedno oka mgnienie. Bałkana się zerwała, oczy sobie dłońmi zakryła i z chaty wybiegła.

W izbie pozostał Turek na wznak leżący i wijący się pod Stojanem, który mu piersi kolanami gniótł, a gardło dłońmi uciskał.

Groźdan najspokojniej przed chatą jagnię, na wbitym w słup kołku zawiesiwszy, ze skóry obdzierał. Ujrzawszy żonę wybiegającą, z oczami dłońmi zasłoniętymi, zawołał:

— Bałkana!

— Ach! — odpowiedziała, dłonie od oczu odrywając.

— Co tam? — odezwał się chłop spokojnie.

— Stojan...

— Co Stojan?

— Nie wiem... ach!... no...

— Turczyn go zobaczył? — zapytał z akcentem.

— Ach!... nie — odpowiedziała.

— Jeżeli nie, to... chwała Bogu.

— On zobaczył Turczyna.

— Niedziw... Za habami stał. Cóż jednak?...

Wyprowadzić go ztamtąd nie można było...

— On wyszedł sam.

— Wyszedł? — odezwał się chłop głosem zaniepokojenia.

— Jak tylko Turczyn mnie ujął, on wyskoczył.

— I Turczynowi przeszkodził? — zapytał, odjagnięcia ręce odrywając.

— Przeszkodził.

— Nieszczęście!... I cóż?

— Co? nie wiem... Jam uciekla... Oui tam.

— Palcem na drzwi z przerażeniem wskazała.

— Tam?... — powtórzył Groźdan.

Kroków parę postąpił i ucho nadstawił.

— Tam?... cicho...

Znów kroków parę postąpił i na żonę, która ze skrzyżowanymi na piersi rękami przy słupie pozostała, spojrzał. Spojrzenie jego wyrażało zapytanie trwogą nabrzmiałe:

— Czemu tam cicho?

Powód bardzo prosty i naturalny ciszy był ten, że Stojan Turka zadusił. Czynu tego dokonał w przeciągu tego czasu, kiedy Groźdan z żoną rozmawiał. Turek się wił i szarpał; on go w milczeniu z zajadłością pantery obiema dłońmi za gardło cisnął i dopiero gdy się pod nim milazim uspokoił, przemówił:

— Ha!... wczoraj przed tobą niedźwiedzia udawać musiałem, a dziś tyś niewiastę naszą bezcześcił? Ha! ty! psi synu!

Przemawiał do trupa.

Słowa te, a raczej dźwięki ich doszły do słuchu Groźdana. Wydało się mu, że to się rozmowa toczy. Uspokoił się nieco i, przybrawszy pozór człowieka, skradającego się dla podsłuchów, znów kroków kilka

postąpił i do drzwi podszedł. Drzwi były otwarte. Do odzwierka ramię przycisnął i do środka zaglądnął. Widok, jaki go uderzył, był ten, że milazim na podłodze leżał, a Stojan nad nim stał. To go zdziwiło. Na żonę, która postawy nie zmieniła, z wyrazem zapytania w oczach spojrzał i ramionami ścisnął. Grożdźdan byłby nie wiedział co począć, gdyby Stojan nie był się do drzwi zbliżył i jego nie zoczył.

— Grożdźdanie—rzekł.

Chłop się wysunął, proga jednak przestąpić nie śmiał

— Widzisz?

On nie rozumiał.

— Zamordowałem Turczyną.

— E? — odezwał się chłop tonem, w którym przerażenie czuć się dało.

— Zamordowałem... żony twojej zbezczeszczyć nie dałem.

Słowa te wprawiły wieśniaka w osłupienie.

— Czy kto widział, że on do chaty twojej wszedł?

Na zapytanie to, które miało na celu uprzątnięcie śladów czynu dokonanego, Grożdźdan zamiast odpowiedzieć Stojanowi, krzyknął tonem przerażenia do żony:

— A!... on Turczyną zamordował!

Balkana w dłonie klasnęła, palce splotła, ręce wyciągnęła i, w lament uderzywszy, biedz poczęła ku wsi. Biegła i krzyczała.

— Nieszczęście!... — krzyknął Grożdźdan i także ku wsi biedz począł.

Stojan do upamiętania chcąc ich doprowadzić, przed chatę wyszedł i razy kilka zawołał:

— Ludzie! ludzie!...

Groźdan i Bałkana nie słyszeli.

Młody człowiek ręką machnął. Do drzwi się zwrócił i do środka spojrzął; następnie spojrzął ku mehanie; w postawie jego widzieć dawało się wahanie, które się wnet rozstrzygnęło w ten sposób, że do izby wbiegł, kapelusz pochwycił, wyszedł, oglądał się i krokiem spiesznym ruszył w pole. Postać jego niedługo widną była. Niebawem znikł za gruntu załomem.

Krzyki Groźdana i Bałkany wywoływały z chat mieszkańców. Kobiety wybiegały i chowały się; mężczyźni stawali i oglądali się, jakby horyzont badałi, ażali plaga jaka z nieba nie spadła. Dokoła panował spokój poranku letniego: ciszę, jaka zalegała, napelniał brzęk komarów, który się układał w hymn cichy, dzwoniący, niby echo dalekie tonów konających orkiestry jakiejś powietrznej.

Bałkana przy którejś piątej czy szóstej chacie zatrzymała się i wnet otoczona, powiedziała jeno:

— Wielkie nieszczęście... Stojan Turczyna ubił. Nadszedł Groźdan.

— Stojan Turczyna ubił — powtórzył.

Słowa te przeraziły tych, co je usłyszeli najpierwsi. Zeszli się inni; nadszedł czorbadzi.

— Co?... jak?... gdzie?

Groźdan opowiadać jął i opowiedział, jak Turczyn przyszedł, jak jemu wyjść kazał, jak z Bałkaną sam na sam pozostał. Przedstawił to jako rzecz zwy-

czajną, naturalną, godziwą, zwalając winę całą na Stojana, o którym nie wyrażał się jasno.

— Co za Stojan? — zapytał go ktoś.

— A tenże, Peta mehandżego.

— Zkądże się on wziął?

— Nie wiem... Przyszedł, przy ognisku siedział, a kiedy nadszedł Turczyn, schował się.

Morderstwa ukryć nie było sposobu. Czorbadzi co począć nie wiedział. Trzeba jednak było zdecydować się na coś. Zdecydował się Grożdana związać i do Szistowy do konaku odstawić, zaszedłszy z nim pierwiej do mehany, ażeby i Stojana zabrać. Czorbadzi, wezwani przezeń wieśniacy i związany Grożdani do mehany się udali. Przechodząc mimo chaty tego ostatniego, gromadka się zatrzymała. Czorbadzi i kilku innych do środka zajrzeli. Na podłodze leżał nzwawak tup, który miał oczy i usta otwarte i język ynwalony. Wieśniacy cofnęli się przerażeni. Pociągnęli dalej. Przed mehaną zastali szyldwach na warcie chodzącego i Peta w progu stojącego. Peto, ujrawszy Grożdana związanego, wyraził oczami zaniepokojenie i zwrócił się do czorbadzego z pytaniem:

— Co to znaczy?

— Gdzie Stojan?... — była odpowiedź.

— Jaki Stojan?... Jeżeli o Stojana mego chodzi, nie było go tu. Jam go nie widział.

Słowa te wymówił tak głośno, że słyszały je kobiety w izbie. Turcy słyszeli, ale nie rozumieli.

— Na cóż wam Stojana? — zapytał Peto.

Czorbadzi opowiedział, co zaszło.

— Stojana tu nie było; zaświadczać nizamy, co są w mehanie od wczoraj, od rana prawie. Jeżeli i przyszedł, do mnie nie zachodził.

Zakomunikowana żołnierzom wiadomość nie wywarła na nich wrażenia szczególnego. Onbaszi udał się do chaty Grożdana, stwierdził fakt i powrócił. Toż samo uczyniło paru innych żołnierzy. Czorbadzi delikwenta poprowadził do Szistowy.

III.

Po opisanych w rozdziale poprzednim wypadkach upłynęło dni kilka. Wali ruszczucki, poważny i spokojny, jak zwykle, dawał posłuchania, z których najpierwsze udzielone zostało temu „przyjaznego mocarstwa“ konsulowi, co się specjalnie sprawami agitacyi bułgarskich interesował. Pasza powitał go uprzejmie. Po zamianie kilku frazesów wstępnych, rozmowa zeszła na materję, która przed tygodniami paru przedmiotem rozmowy już była, z tą różnicą, że wówczas zaczepka wyszła od konsula, obecnie zaś pasza sam zaczął.

— Więc — odezwał się — do procesu mamy już materyał w ręku dostateczny.

— Członków komitetu, ekscelencyo? — zapytał konsul.

— Ani jednego.

— Cóż to więc za materyał?

— Surogacyjny — odrzekł pasza. — Mamy takich, co będą mogli pójść na szubienicę w zastępstwie członków komitetu, jeżeli, rzecz prosta, komisji śledczej nie uda się wycisnąć z nich zeznań, które pozwolą aresztować zastępców innych, prawdopodobniejszych, aniżeli oni.

— Ahm — konsul na to.

— Widzisz przeto pan: cywilizujemy się, wprowadzając do wymiaru sprawiedliwości rachunek prawdopodobieństwa.

— Czy nie jest to w stosunku do sprawiedliwości za hazardowne trochę? — zauważył konsul.

— Hazardowność usuną motywa wyroku, jak w Europie.

Konsul nie na to nie odpowiedział. Zapytał:

— Iluż się pod klucz dostało?

— Trzech.

— Zamało.

Pasza w dłonie klasnął i adjutanta służbowego, co się z po za portyery wychylił, zapytał:

— Czy jest w konaku Aristarchi-bej?

— Jest, paszo-effendim.

— Niech tu przyjdzie.

W chwilę później Aristarchi-bej wszedł do salamliku, pokłonił się i stanął w oczekiwaniu rozkazów. Pasza mu zapytanie dał:

— Czyby nie można aresztować więcej niż trzech?

— Można — była odpowiedź.

— Takich, coby się dali do procesu wciągnąć?...

— Wciągnąćby się dał Bulgar każdy.

— Zapewne. Chodzi jednak o poszlaki prawdopodobne — zauważył pasza.

— Tak — odparł Aristarchi-bej. — Poszlaki są...

— Przeciwno komu?

Aristarchi-bej wymienił nazwisk kilka, pomiędzy którymi ostatniem było: hadzi Christo.

— A?... — pasza na to.

— Do jego domu wytropiono...

— To dobrze... — I, do konsula się zwracając, rzekł: — Z notablów jeden.

— Znam go. Ten wszakże do knowań przewrotnych nie należy chyba.

— Ale w procesie z korzyścią figurować może,

Cóż się stało? Łatwo domyślić się, że sprawa nawiązała się około morderstwa, dokonanego przez Stojana.

Stojan, po wyjściu z chaty Groždana, znalazł się w położeniu kłopotliwym. Do domu wracać nie mógł na wsi schronienia dla niego nie było. Żałował, że się uniósł, ale żał przyszedł ponieważ. Stanął w obronie czci, która nie obchodziła zgoła tych, co w niej dotkniętymi byli.

— Czy to było warto?

Z punktu zapytania tego rozmyślał i zrazu uczuwał przejmujące go przeciw współziomkom oburzenie. Po namyśle jednak oburzenie przeminało.

— Co oni biedni winni?... — w duchu sobie powiedział. Pięciowiekowa niewola nie mogła nie pozostawić śladów głębokich, zwłaszcza, że tych pięć wieków naród spędził w bezwładności umysłowej zupełnej.

Turkom się oddał i o sobie ani pomyślał; Turcy, przeto urobili go dla siebie, ułożyli jak się układają psy ujeżdżili jak się ujeżdżają konie, i tak z niewolą oswoili, że ją ze wszystkimi następstwami przyjmują, jako stan naturalny. Co oni temu biedni winni?

Zapytywał siebie, zkąd się w nim samym wzięło oburzenie. Odpowiedź przychodziła sama przez się. Pojęcie o czci przedstawiało się mu pod postacią owocu oświaty.

Rozmyślanie to jednak nie poprawiało położenia, w jakim się znajdował. Wydostał się na pole pomiędzy łąki, posiewy, lasy, okrywające grunt wzgórzysty, pomiędzy wsie i osady bułgarskie, tureckie, i czerkieskie, otaczające Ruszczuk i nie wątpił, że nakazaną zostanie przez władze oblawa, mająca na celu pochwycenie go. W myśli sobie obliczał, że nakaz nie może nastąpić rycniej, jak po upływie godzin dwudziestu czterech. Miał więc przed sobą dobę całą, w której przeciągu uratowałby się, gdyby mógł się przez Dunaj przerzucić. Myśl przerzucenia się przez Dunaj zawitała mu do głowy najpierwsza. Myśl ta skutecznieby się dała najłatwiej, gdyby się do mehanu dostał. Ojciec jego miał z rybakami i z kontrabandzistami stosunki. Ale mógłże do domu wracać? Mógłże narażać i siebie i ojca? W sprawie wypraw powstańczych r. 1867 i 1868 władze tureckie wieszały i na roboty ciężkie skazywały nietylko tych, co w wyprawach udział brali, ale i tych, co biorącym udział chleb i wodę dawali. Stojana w mehanie nikt nie widział. Okoliczność ta osłaniała ojca jego, na którego przytomność umysłu liczył; nie należało prze-

to osłony tej na hazard wystawiać. Skierował się więc ku brzegowi dunajskiemu w tej myśli, że przy-padek z pomocą mu przyjdzie. W chaszczech się ukrył i czekał.

Przypadek Stojanowi z pomocą nie przychodził. Stojan widział zdala przesuwające się po rzece, jedne szybko, drugie powoli, statki parowe, okręty żaglowe, dubasy, łodzie, łódki, czółna rybackie; wszystko to trzymało się zdaleka! Trzebaby było chyba czekać dni kilka, ażeby się sposób ten udał. Stojanby zre-sztą na czekanie się zdecydował; lecz w dniu pier-wszym nad wieczorem spostrzegł na linii, którą cho-dziły patrole graniczne, większy aniżeli zazwyczaj ruch, świadczący o podwojeniu czujności. Nie wątpił, że nastąpiło to na intencję jego. Nocy doczekał i noc spostrzeżenie to stwierdziła. Na brzegu czujność by-ła spotęgowana. Przekonawszy się o tem, opuścił schronienie w chaszczech, wyszedł na drogę i zanim do niej doszedł, w bruzdzie przylegnąć musiał, celem uniknięcia spotkania z przeciągającym traktem podjazdem Czerkiesów. „Strach ma wielkie oczy.“ Podjazd ten nie jego się może tyczył. Gdy Czerkiesi przejechali, przez drogę przeszedł, do lasu się dostał i, wybrawszy sobie miejsce odpowiednie, do spania się ułożył.

„*La nuit porte conseil*“, powiedział sobie. Usnąć od razu nie mógł, rozmyślał i, rozmyślając, ułożył so-bie plan, którego punkt wychodni był ten, że najbez-pieczniejsze przed okiem ludzkim schronienie jest po-między ludźmi. W tłumie jednostka ginie, nie w każ-dym jednak: potrzeba, ażeby pomiędzy tłumem a je-

dnostką zachodziła jednakowość mianownika. Jednakowość owa na wsi zachodziła dla Stojana, dopóki po sielacku się nosił.

— Ach! na cóżem habiczkę, chodaki i kołpak zrzucił?...—odezwał się z westchnieniem.

Rady jednak na to nie było. Wypadku nie przewidując, przysposabiał się do powrotu do Ruszczuku. A i teraz nic innego do czynienia mu nie pozostawało. Do Ruszczuku powrócić i w tłumie się zgubić, następnie zaś przy sposobności zdarzonej do Dziurdzewa się przerzucić, wydało mu się jedynym, w warunkach, w jakich się postawił, ratowania się sposobem. Zachodziła jeno trudność dostania się do Ruszczuku, miasta, opasanego rowem i wałem, otoczonego działaniami i pilnowanego przez rozstawione po bramach warty.

— Ale — pomyślał sobie — czyż to trudność nie do przewyciężenia?

Mysłąc o trudności tej, zasnął.

Obudził go dziwny jakiś w lesie ruch: szum wiatru, czy co? Nie był to wiatru szum. Wsłuchał się, rozpoznał łomot gałęzi, stąpanie, gwar mowy ludzkiej i od czasu do czasu nawoływania, jakby rozkazów głośno wymawianych.

— Co to znaczy?

Na równe nogi się zerwał i uszu nastawił. Ruch wyraźnie sprawiali ludzie, którzy sobą las napełniali. Świadomemu dziejów Filipa Tabi i Panajota Titowa, Stefana Karadži i Hadži-Dymitra, łatwo było domyślić się, że to oblawa.

Stojanowi zrobiło się nijako. Serce mu się ścisnęło; wprędce atoli przeszło wrażenie pierwsze, a to na tej podstawie, że, przypuszczając, iż to oblawa, do stracenia miał jeno życie, które i bez tego na włosku wisiało. Natchnęło go to odwagą. Rewolwer opatrzył; chwilę postął, celem zorientowania się w lesie, który mu obcym nie był i ruszył w kierunku jaru, dającego początek strumieniowi, płynącemu do Łomu. Postępował ostrożnie, oglądał się, mianowicie zaś rozpoznać usiłował położenie przed sobą. Zatrzymał się i zmiarkował, że otoczony jest szeregiem ludzi, zbliżających się ku środkowi. Szereg tego rodzaju, rzadki zrazu, ścisła się następnie. Stało mu to w oczach odrazu, poznał zatem, że szansa wyjścia po za koło od pośpiechu zależy. Ruszył więc szybko, uszedł kroków dziesiątków kilka i natrafił na wieśniaka, Bulgara, który skoro go zoczył, pałkę podniósł i gębę otworzył; lecz wnet gębę zamknął i pałkę spuścił, gdy mu Stojan rewolwer pokazał.

— Co to jest?—zapytał półgłosem.

— Turczyn spędził nas na Stojana Kriwenowa—odpowiedział chłop.

— Z Bogiem—rzekł Stojan, chłopą mijając.

— Z Bogiem—odrzekł chłop.

Stojan oblawę wyminął, krokiem szybkim puścił się ku jarowi, pomykał ścieżką i nagle nos w nos spotkał się z agą od zaptich szistowskich, który mu drogę zastąpił.

— *Dur!* (stój!) — krzyknął aga, lewą ręką ku piersi jego pomykając, a prawą po rewolwer, za pasem sterczący, sięgając.

W chwili tej rewolwer wypalił, nie agi atoli, ale Stojana; aga stęknął, ręce podniósł, jakby się niemi chwycić o co chciał i na wznak się zwałił.

Stojan biegiem pomknął.

Położenie jego polepszyło się o tyle, że się obarczył morderstwem drugim. Biegł co tchu i, biegnąc, pomyślał sobie, iż za nim w tropy puści się pogoń, która go doścignąć może tem łatwiej, iż jej kierunek wskazał. Skoro mu to na myśl przyszło, wnet się w bok rzucił, na zarośla trafił i, zaroślami się osłaniając, starał się obejść las tak, ażeby przybrać kierunek wręcz przeciwny temu, w którym go prawdopodobnie pogoń ścigać będzie. Z racyi tej zwrócił się w kierunku Kriweny. Po niejakim czasie kroku zwolnił, wciąż atoli szedł, oglądając się; od czasu do czasu przystawał, nasłuchując i znów się puszczał. Upewnił się wreszcie, że pogoń zmylił; spoczął; począł następnie iść znów, ale już wolno, aż doszedł ponad wieś, okrążył ją zdala, wybrał sobie gęsto liśćmi okryty, rozłożysty jawor, na jawor ów wlaźł i na wierzchołku onego wśród gałęzi się ukrył.

Z jaworu odsłonił mu się widok szeroki. Wzrok sięgał na płaszczyzny zielone za Dunajem, na poły-skujący od słońca Dunaj, na pola, wzgórze, lasy, z po za których wychyla się strzelająca minaretami Szistowa, na wsie tu i owdzie się pokazujące, na ujścia Jantry, wreszcie i na Kriwenę, w której, jak na dłoni, luboć w oddaleniu, widział mehanę ojcowską.

— Co się z ojcem dzieje?... Co się dzieje z babką, matką, siostrą?

Dwa te zapytania przedstawiały się mu w sposób jednakowo niepokojący. Wielkiem było podobieństwo do prawdy, że władze przyaresztowały ojca; nie mniejsze jednak prawdopodobieństwo przemawiało za tem, że poruszone przez te władze, celem poszukiwania Stojana, siły wykonawcze, składające się z Czerkiesów i baszybuzuków, nie zaniedbały przy okazji tej znęcać się nad jego babką, matką i siostrą. Myśl o siostrze, młodej, przystojnej dziewczynie, łakomym dla muzułmanów kąsku, niepokoiła go szczególnie, przedstawiając się mu pod postacią zagadki. Usiłował zagadkę tę rozwiązać zapomocą wpatrywania się w mehanę. Patrzył, wzrok wyteżał i nic, co by go na domysł jaki naprowadzić mogło, odkryć nie był w możności. Mehana stała jak stała; około niej kury chodziły; mimo niej podróżni przechodzili i przejeżdżali; widział ją z tyłu, więc dojrzeć nie mógł, czy warta żołnierska pozostawioną była. Gdyby ją zdjęto, podkradłby się pod mehanę w nocy i dowiedział, jak rzeczy stoją. Chodziło mu więc szczególnie o wartę. Z pośrodku liści się wychylał i wzrok wyteżał. Dojrzał wreszcie połysk bagneta.

— A więc nizamy są.

W chwil kilka później pokazała się mu postać, wychodząca drzwiami tylnymi.

— Babka—szepnął.

Dowiedział się przeto, że warta stoi i że babka jest.

Dwie te dane stanowiły owo coś, z którego można wnioski wysnuwać. Obecność niewiasty starej w domu oznaczała w razie nieobecności właściciela za-

stępstwo takowego. Własność przeto pozostała nie-nadwerężoną. Zachodziła kwestya osób. Ta przypuszczalnie rozstrzygnąć się dawała tak: Ojciec albo został, albo nie został aresztowany; w jednym i w drugim razie jednak nie nastąpiło to niespodzianie, a zatem był czas pomyśleć o zabezpieczeniu matki i siostry. Z jaworu pokazała się mu jeszcze i dana trzecia. Mehana funkeyonowała trybem zwyczajnym. Widział jeźdźców kilku czerkieskich, co się zatrzymali, z koni posiadali, czas jakiś zabawili i odjechali. Widział też jeźdźców, kręcących się po polu.

— To za mną—rzekł sam do siebie.

Obserwacya z jaworu zaspokoila go pod względem losu rodziny; oddał się więc swobodnie rozmyślaniu o losie własnym, który pogorszył się tembardziej, że dzień drugi w usta oprócz wody nie brał. Głód mu się uczuwać dawał dotkliwie. W mehanie posiłek by znalazł, ale dostanie się do mehany, pozostającej pod dozorem nizamów, uważał za ryzyko zanadto wielkie.

Obserwował wieś. W Kriwienie po chatach nie dostrzegł zmiany żadnej. Mieszkańcy snuli się, jak zwykle, zdawało się jakby nie zaszło nic. Stojan każdego z mieszkańców znał, postanowił wieczora do-czekać i udać się do czorbadżego wprost.

Jak postanowił tak zrobił; wieczór nadszedł, on się z jaworu spuścił i do wsi się udał. W chacie czorbadżego zgromadzona była rodzina, która, gdy się Stojan pokazał, złąkla się srodze. Dzieci się pocho-wały; pozostała niezmienna w razie trwogi reprezen-

tantka domu: *babiczka*. Staruszka na zapytania pierwsze nie miała odpowiedzi innej, jeno:

— Nie wiem, nie znam.

Stojan pytał o czorbadżego, o ojca swego, o to, co tu słyhać:

— Nie wiem.

Przemawiał do niej uspokajająco i łagodnie, i ledwie nieledwie udało mu się wydostać odpowiedź jaśniejszą.

— Nie bójże się mnie, babiczko—przemówił.— Jak przyszedłem, tak odejdę.

— Odchodź—odpowiedziała.

— Ale ty mi powiedz pierwej, gdzie czorbadżi?

— W Szistowie.

— A ojciec mój?

— Ojciec twój?—odrzekła.

— Peto mehandżi?

— W Szistowie.

— A matka i siostra moja?

— W Szistowie.

— W apsie, co?

— W Szistowie.

Stojan poznał, że stara wyraz ten podchwyciła i już go nie zmieni. Na próbę zapytał:

— Gdzie masz chleb?

— W Szistowie—odrzekła.

Ton zmienił i groźnie się odezwał:

— Daj mi wnet chleba i co jeno do jedzenia masz!

Kobieta, nawykła do posług tego rodzaju, podała mu wnet mamałygi kawał spory, sera trochę, cebul parę i czegostam jeszcze. Stojan w chustkę to zawinął i odszedł. We wsi nie miał co robić. Przechodził mimo chaty Grożdana. Zamknięta była. Nie pozostawało mu nic, tylko znów szukać w polu schronienia i noclegu.

Schronienia i noclegu?

Schronienie nocy minionej nakazywało ostrożność, ostrożność zaś budziła w nim niepokój, dzięki któremu przez noc całą szedł i nad ranem znalazł się w pobliżu wałów fortecznych. Było jeszcze ciemno. Na wschodzie widnokrąg rumienić się dopiero począł. Stojan, wałom się przypatrując, nie dostrzegł zrazu na nich nic, po chwili jednak pokazała mu się budka szyldwach. Podeszedł bliżej, wzrok wyteżył i dojrzał żołnierza, który w budce siedział. Powinien był po wale chodzić, siedział jednak.

— Śpi może—rzekł Stojan do siebie.

Podeszedł jeszcze bliżej i przekonał się, że w rzeczy samej szyldwach śpi. Po rozszerzającej się coraz to bardziej na widnokregu jutrzence dopatrzył budek na prawo i na lewo, ale na wale żołnierzy chodzących nie dopatrzył.

— A no—strzeliła mu w głowę myśl—spróbuję.

Do rowu się spuścił i jął szukać sposobu wdrapania się na wał.

Turków odznacza niedbalstwo w utrzymywaniu fortów w czasie pokoju; biorą się do naprawiania ich, gdy wojna zagraża. Dlatego też z łatwością spuścił się Stojan do rowu i bez trudności wynalazł

mur opadły, po którym jak po schodach dostał się na wał w punkcie, znajdującym się wprost pod budką. Przysiadł, następnie podnosząc się powoli, wychylił się o tyle, że widział żołnierza. W budce on siedział i spał; karabin stał przed nim o ściankę oparty. Stojan na czworaka na wał wlaźł. Na chwileczkę się obok budki zatrzymał, przesunęła mu się bowiem przez głowę myśl przyłączenia zabójstwa trzeciego do dwóch poprzednich. To ostatnie napraszało się niejako. Miał przed sobą wroga. W rękę go trzymał. Własnym jego karabinem zabić go mógł. Odbyszał się w nim proces psychiczny, polegający na tem, że wszedł na pochyłość i powstrzymać się na niej trudno mu było. Znajdował się w stosunku do Turcyi w stanie wojennym, wyzwał ją; był stroną; uważał siebie za upoważnionego do szkodenia przeciwnikowi, który był przeciwnikiem i sędzią zarazem, i od którego nie spodziewał się względów najmniejszych. Nie widział racyi dobrej żadnej nie zabijać tego żołnierza śpiącego; a przecież nie zabił go. Zabrał mu jeno karabin, budkę obszedł i z parapetu zeskoczył, zamierzając karabin połamać i rzucić. Zamiarowi temu jednak na przeszkodzie stanął patrol. Gdy po stoku wewnętrznym schodził, o uszy jego obił się nagle i niedzianie okrzyk:

— *Dur!* (stój!)

Cisnąć karabin i ruszyć pędem było dziełem jednego mgnienia oka. Puścił się przez wygon w kierunku budowli, co maskowała sobą ulicę, prowadzącą do środka miasta. Liczył na to, że się budowlą zasłoni. Usłyszał jednak za sobą pogoń, przed którą, gdy

budowlę minął, ukrycie się przedstawiało mu się pod postacią dwojaką: stojącej pod ścianą beczki i wznoszącego się nieopodal szatra cygańskiego. Z pod szatra wyglądały nogi bose śpiących pod nim ludzi, a obok stał u płota uwiązany osioł. Szatro albo beczka? Niedługo się namysławiając, do beczki wskoczył i przykucnął. W chwili tej żołnierze nadbiegli, zatrzymali się, w ulicę spojrzeli i głośno wymyślać poczęli:

— Pezewenk!... czapkin!... uciek!... Dostanie się on kiedyś w ręce naszel!...

Cyganie się pobudzili i z szatra powylazili. Jeden z nich wstał.

— Nie widziałeś?—zapytał go nizam.

— Kogo? Komitadzi jakiegoś zapewne... czapkina!

— Nie widziałem—opowiedział.

Wysunęła się starucha i z podełba na żołnierzy patrzyła. Żołnierze klęli, spluwali, zawrócili się i ku wałom pociągnęli.

W chwilę później Stojan z beczki wylazł i przeszedł mimo cyganów, którzy na niego ze zdziwieniem spoglądali. Byłby się może przy nich zatrzymał, gdyby ich był nie poznał; byli to bowiem ci sami, co trzy dni temu w Kriwienie przed mehaną tańcami się przed Turkami popisywali, i w gronie których on niedźwiedzia udawał. Szybko ich wyminął; nie oddalił się jednak o kroków pięćdziesiąt, gdy stara cyganka, nie towarzysząc swoim nie mówiąc, śladem za nim się udała. On szedł przodem, ona za nim. Słońce jeszcze nie zeszło, na ulicach ruchu nie było; z jednej

w drugą przesuwwały się dwie postaci w sposób taki, jakby jedna uciekała, druga gonila, gonila atoli jak cień zdaleka idący. Stojan nie widział, ani przeczuwał cyganki za sobą. Stara, bosemi idąc nogami, nie sprawiała hałasu, ani szelestu nawet; kij w rękę niosła, lecz się nim nie podpierała, dlatego zapewne, ażeby nie stukać i uwagi na siebie Stojana nie zwrócić.

Stojan minął ulic kilka, wszedł na mahałę bułgarską i przez nikogo, jak mu się zdawało, niespostrzeżony, zatrzymał się przy bramie hadzi Christa. Dom ów uważał za schronienie najbezpieczniejsze, zwłaszcza, że miało być ono bardzo krótkie. Stojanowi potrzeba było jeno trochę się rozpatrzyć w sposobach wymknienia się na brzeg przeciwny. Nie wątpił, iż hadzi Christo w tem mu dopomoże; liczył na hadzi Christicę, jako też i na Ilenkę, której umysł chwycił żywo pojęcia nowe, a serce odbijało w sobie dźwięki patryotyczne. Spodziewał się pomocy, jeżeli nie odważnej, to gorliwej.

Brama, z powodu pory bardzo wczesnej, zamknięta jeszcze była zewnątrz. Zakolatał, poczekał i zaniepokoił się. Niepokój jego jednak wnet przeminął, kiedy bowiem po raz wtóry kołatać zamierzał, usłyszał chrząkanie, chód i odkładanie zasuw. Brama się otworzyła. Na progu powitał go parobek stojenny

— A!...—odezwał się na progu. — *Dobro dosze!*

Brama się zamknęła.

— Coż tu słyhać?—zapytał Stojan.

— Wszystko dobrze, Bogu dzięki.

— *Stepun* wstał?

— Zapewne. Nie zaglądałem do *odai*, ale toć już boży dzień.

Ponieważ w stosunkach towarzyskich, jakie w społeczeństwie bułgarskiem panowały, etykieta nie wymagała anonsovania gości, Stojan przeto, bez opowiadania się komu bądź, wkroczył do środka domu i wszedł na piętro. Na piętrze znajdowała się jego niegdyś izba. Rościł do niej prawo na tej podstawie, że rozstanie się jego z hadzi Christem nosiło na sobie charakter bardziej urlopu, aniżeli dymisyi. Udał się przeto do izby swojej wprost i jał się w niej krzątać, sprawiając hałas w tym celu, ażeby ściągnąć uwagę czyjąś i dać o sobie corychlej znać hadzi Christowi, który może już nie spał, ale zapewne w pościeli jeszcze pozostawał. Chodził więc, stukał, chrząkał, kaszlał i ściągnął hadzi Christicę. Zajrzała, okrzyk zdziwienia wydała i znikła. Po niej wnet zjawił się hadzi Christo w negliżu porannym; widocznem było, że się ze snu zerwał i anteryę na opaszkę schwytał. Na obliczu jego malowały się: gniew i przerażenie.

— Nieszczęsny! — zawołał wchodząc — po co ty tu?

Na zapytanie to Stojan języka w gębę zapomniał.

— Co cię tu sprowadziło?

— Przyszedłem... przychodzę... — odpowiedział wreszcie.

— Tyś jedno Turczę zabił!

— Zabiłem—odrzekł.

— I do mnie przychodzisz? Ja nie mam krwi mojej do wylania... Nie... Ja... ja... — zbladł i drżącymi usty wymówił:—Ja ciebie zaptijom oddam!

Na słowa te wbiegła hadzi Christica. Wnijscie jej przeszkodziło Stojanowi odpowiedzieć. Weszła z wyrazami na ustach.

— Nieszczęsny! niegodziwy! Myśmy ciebie, ni-by dziecko własne przygarnęli.

— Zaptije... zaptijom... Idę...— zaczął hadzi.

Zwrócił się. Drogę w progu zastąpiła mu Ilenka.

— Nie pójdziesz, ojczu!... — były jej pierwsze słowa.

Wyrazy te wymówiła z takim akcentem, że hadzi Christo stanął i wzrok pytający na dziewczynę zwrócił.

— Nie pójdziesz!...—powtórzyła—nie dopuścisz się podłości tej!

— Ależ on mnie gubi!...—odparł hadzi.—Zamiast niego, ja na szubienicę pójde, jeżeli wiadomem będzie zem mu przytułek w domu moim dał.

— Czyż to wiadomem być ma?... — odrzekło dziewczę.

— Czy widział kto ciebie?... — zapytała hadzi Christica.

— Nie widział mnie nikt, tylko Stefan na podwórzu—odpowiedział Stojan.

— Stefan nie powie nikomu... — podchwyciła Ilenka.

— Ale niechże—hadzi na to—niech on wychodzi natychmiast, natychmiast!... Wychodź!... uciekaj!... zapomnij, żeś próg mój kiedy przestępował!.. Wychodź!...

Stojan poznał, że mu nic innego nie pozostaje, tylko opuścić schronienie, które mu się tak bezpie-

cznem wydawało. Potrzebował opuścić je jaknajśpieszniej, ażeby uprzedzić ruch na ulicach. Nic więc nie mówiąc, wyszedł. W słuch wpadły mu wyrazy:

— Z Bogiem!

Wyrazy te, przez Ilenkę wymówione, w sercu mu oddźwiękiem się odbiły.

— Z Bogiem...—hadzi Christica i hadzi Christo powtórzyli.

Stojan ze schodów zbiegł; na ulicy w lewo się zwrócił i ruszył, nie oglądając się po za siebie.

Za nim, w oddaleniu kroków pięćdziesięciu, szła cyganka stara.

Położenie jego wielce kłopotliwem się stało. Miał jeszcze do wyboru dwa schronienia: dom baby Mokry, albo Stanka. Ten ostatni wydał mu się pewniejszy, raz dlatego, że bliżej był, powtóre, że na Stanku ci-chym a ostrożnym, nie ciążyło podejrzenie żadne. Na ulicy nie spotkał nikogo. Szkoły dopadł; na szczęście swoje drzwi otwarte znalazł, wszedł i ze Stankiem się w pierwszej izbie spotkał.

— Prawiem się spodziewałem ciebie... — rzekł ten ostatni po pierwszych wyrazach powitania.

— Ukryć się potrzebuję.

— No, wiem... przetrząsają tu za tobą Turcy miasto całe; robili przedwczoraj rewizję u hadzi Christa i pociągnęli go do sądu. Na nieszczęście Piotra w domu niema, ażeby dla ciebie ucieczkę do Rumunii przygotował... Zostaniesz u mnie do wieczora; wieczorem coś dla ciebie obmyślimy, tymczasem zaś.. chodź...

Zaprowadził go do komórki i pokazał mu na wypadek wszelki wyjście tylne, otwierające się na przesmyk pomiędzy domami.

— O przesmyku tym Turcy nie wiedzą... Wyprowadza on... wiesz?... po za ogród baby Mokry... Siedź-że ty tu cicho, a ja tymczasem dam babie znać i gdybyś u niej schronienia szukać potrzebował, wchodź nie przez bramę od ulicy, ale przez mur do ogrodu.

Zamienił Stanko ze Stojanem jeszcze frazesów kilka i odszedł. Stojan się na spoczynek ułożył.

Przed domem cyganka stara stała długo, czekała; wreszcie stanowisko swoje opuściła i udała się do konaku wprost.

IV.

Kraje ucywilizowane zachowały wiele ze zwyczajów, praktykowanych w świecie nieucywilizowanym, a nie zalecających się moralnością ścisłą. Do zwyczajów tego rodzaju należy między innemi ogłaszanie nagrody pieniężnej za ujęcie lub wskazanie zbrodniarza. Dokonywaćby się to powinno bez nagrody. Potrzeba wynagrodzenia za rzeczy takie świadczy, że społeczeństwo nie idzie ręką w rękę z rządem. Rząd angielski ucieka się do środka tego w stosunkach irlandzkich, naśladować w tym wzglę-

dzie rząd turecki, który na usługi swoje trzyma chmary szpiegów i donosicieli urzędowych, ale wywołuje i przygodnych. Środka tego chwycił się wali ruszczucki, gdy Stojan, przed obławą się wymykając, zastrzelił agę. Przy odgłosie bębna oznajmionem zostało wszystkim wobec i każdemu z osobna, że kto żywcem dostawi, lub wskaże, Stojana Kriwenowa, mordercę milazima w Kriwienie i mordercę agi w lesie, ten tysiąc ghurusz wynagrodzenia dostanie. Wiadomem to się stało powszechnie i ta okoliczność właśnie pchnęła cygankę w ślad za Stojanem.

Cyganka nie знаła go; poznała go jednak, gdy dni temu kilka przed mehaną w roli niedźwiedzia występował, że odzież sielacka była na nim przebraniem. W ludziach prostych, zwłaszcza zaś takich, którym podstępny służy za środek do życia, władze kombinacyjne rozwinięte bywają do stopnia wysokiego. Skoro przeto o morderstwie milizima usłyszała, wnet na domysł wpadła i odtworzyła w wyobraźni swojej wyraz oczu i fizynomii wieśniaka mniemanego. Gdy się o wynagrodzeniu dowiedziała, wyraz ów stanął jej w pamięci tem żywiej i w oczy się jej rzucił, gdy niespodzianie po odejściu patrolu ujrzała człowieka, z beczki wyskakującego. Ujrzała i poszła za nim. Czekala na niego przed domem i pośpiesznie się do konaku udała. Pasza jeszcze spał; na podwórzu widzieć się dawał ruch rozpoczynającego się dnia; na dole, gdzie się obok biura policyjnego strażnica zaptich mieściła, zaptije pili kawę i palili narghile. Cyganka się do nich zwróciła.

— A co tam?... — zapytał jeden.

— Ja do paszy samego.

— Pasza śpi.

— Śpi?... — rzekła i wnet głosem półśpiewnym zaczęła: — Ach! dżanem, zrywajże się i bęgnij, biegnij prędko i budź go... Niech się z objąć odalyki czarno-okiej wydrze, niech z pościeli równemi nogami wyskoczy i niech mi posłuchanie da.

— Ha, ha, ha... — odezwał się wśród zaptich śmiech.

— Śpiesz się, dżanem! — zawołała Cyganka... — Narghile dopalisz później.

— Cóż ty do paszy masz?...

— Mam ja mu powiedzieć do ucha słowo takie, którego mu żadna nie wykuka kukulka.

— I jakież to słowo?...

— Takie, za które on, gołąbek, mnie pariczkami obsypie.

— Da ci ghurusz jeden.

— Nie... tysiąc.

— Eh?... — odezwał się zapti. — Toś ty może Stojana Kriwenowa wytropiła?...

— Ja do paszy samego... — odrzekła, zmieszana nieco tem, że się jej tajemnica wydała.

— Nie potrzeba ci do paszy isć... Prowadź... gdzie on?...

— A moich tysiąc ghurusz!... — zareklamowała.

— To ty tysiąc ghurusz z góry dostać chcesz? — odparł zapti. — Najprzód zaprowadź i pokaż, albo rozpowiedz tak, ażebyśmy czapkina pojмали.

Cyganka znalazła się w kłopotie, z którego nie wiedziała, jak wyjść.

— Powiem... paszy effendiemu...

— Powiesz ty adze...—odrzekł z zaptich jeden, a jeżeli nie powiesz, to... wyśpiewasz.

Zapti ów wstał, do biura odszedł i, po chwili powróciwszy, miejsce swoje zajął.

Cyganka stała z głową spuszczoną i ze złożonymi na piersiach rękami.

Niebawem zjawił się mąż gruby i poważny, zapinający mundur na sobie. Słów kilka rzucił i wnet się uszykował oddział zaptich, liczący głów ze dwadzieścia, chłopów setnych, uzbrojonych w tasaki przy boku i rewolwery za pasem. Skoro się oddział ów uszykował i poważny mąż mundur na sobie zapiał i tasak do boku przyczepił, tenże sam mąż do Cyganki się zwrócił i głosem rozkazującym rzekł:

— Prowadź!

— Dobrze, dżanem...—rzekła płaczliwie — ale... czemużem ja paszy effendiego nie widziała nawet?...

— Zobaczysz go później, tymczasem zaś... haj!..

Baba zakaszłała się, pochyliła, płachtę na głowę naciągnęła i, kijem się podpierając, przodem podrep-tała. Tuż za nią szedł aga. Cyganka się nie spieszyła, a nawet się co chwila zatrzymywała, jakby drogi niepewną była. A kaszłała i wzdychała. Wreszcie, jakby się namysliła, poszła żwawiej, ulic kilka minęła i stanęła.

— Oto tu... — rzekła, oczami na dom powierzchowności niepozornej wskazując.

— Tu... hm?...—odrzekł aga.—To szkoła.

Zwrócił się do zaptich, a oczy jego wyrażały zapytanie.

— Na Stanku niema podejrzenia?...

— Dotychczas nie było...— odpowiedział z zaptich jeden.

— Eh?... więc jakże?...— odezwał się głosem zapytania.

— Zawszeć on raja.

— Taki cichy i pokorny.

— Pokorni oni wszyscy.

— Czyś ty pewna, że on tu?... — zwrócił się do cyganki z zapytaniem.

— Widziałem, dżanem, jak tu wszedł i już ztąd nie wyszedł, jak od hadzi Christa.

— Był więc u hadzi Christa i od niego przyszedł wprost tu...

A no...—odezwał się aga, na zaptich skinął i drzwi do szkoły otworzył.

Ukazanie się na progu agi, przewodniczącego zaptim, sprawiło przerwanie lekcyi, która się właśnie odbywała. Dzieci szeregiem na ziemi z tabliczkami w rękach siedziały, a Stanko na tablicy kredą białą wyrazy pisał i głośno je sylabizował. Uczniowie płci obojga powtarzali za nim literę każdą. Powstała ztąd wrzawa na tempa. W sylabizowaniu znajdował się wyraz: „baba“.

— Buki az ba...—wygłosił Stanko.

— Buki...—powtórzyły dzieci i urwały.

Nastąpiła nagle cisza. Kilkadziesiąt par oczu zwróciło się na agę, który, próg przekroczywszy, stanął, okiem po dzieciach powiódł i do stojącego obok tablicy z kredą w ręku Stanka odezwał się głosem rozkazującym:

— Wyдай mi komitadżego, Stojana Kriwena!..

Stanka rozkaz ten ani trochę nie zmieszał. Kroków kilka ku drzwiom, do izby przyległej prowadzącym, postąpił, drzwi te otworzył i przez nie następujące rzucił wyrazy:

— Stojanie, uciekaj!...

Poczem drzwi zamknął i przed niemi stanął.

— Otwórz te drzwi!...—odezwał się aga, posuwając się naprzód.

— Poczekaj dżanem... — odrzekł Stanko, rękę wyciągając.—Poczekaj trochę...

Aga się zatrzymał, powściągnięty spokojem z jakim Stanko przemawiał. to jednak Władko jak zmiarkował, krok naprzód postąpił.

— Poczekaj...—odezwał się Stanko.

— Na co?...—zapytał aga.

— Poczekaj...—powtórzył.

— Eh!... — aga na to z niecierpliwości akcentem.

— Ja ci drzwi otworzę sam...—rzekł Stanko.

Aga się znów zatrzymał, na to atoli, ażeby się do zaptich odwrócić i dać im gestem odpowiednim poparty rozkaz otworenia drzwi.

— Poczekajże małko...—przemówił Stanko tonem perswazyi.

— Co tam czekać!...—rzucił aga.—Haj!

— Poczekajcie dla własnego waszego dobra... —zaczął Stanko, który widocznie chciał zaptich zabawić dlatego, ażeby Stojan na czasie zyskał.

— Jakiego dobra?... —zapytał aga.

— Poginiecie marnie... Komitadzi ten ma rewolwerów, jak się zdaje, siedem.

Zaptije na słowa te niby wryci stanęli.

— Nie liczyłem—ciągnął Stanko—ale widziałem... tu jeden, tu drugi, tu trzeci...

Mówiąc to, pokazywał palcem na pasie swoim miejsca, w których jakoby Stojan rewolwery miał. Turcy patrzali i słuchali. On powoli wymawiał:

— Tu czwarty, tu piąty, tu szósty, tu siódmy tu ósmy, tu dziewiąty, tu...

— Psss dur!—krzyknął aga.

— Poczekajże *małko maleno*, ago effendim, niech doliczę... Tu jeden... tu drugi... tu trzeci...

— Ih! naprzód!... — skinął aga na zaptich.

Zaptije jednak nie spieszyli. Każdy z nich rewolwer z za pasa wydobyl i go opatrywał. Rewolwery opatrzyli i tasaki z pochw powymowiali. Ten, co się na przodzie znajdował, wziął rewolwer w rękę prawą, tasak w lewą; po chwili jednak przełożył rewolwer do ręki lewej, tasak do prawej i dopiero ruszył. Gdy ruszył, Stanko jeszcze wynalazł sposób powstrzymania go na chwilę zapytaniem następującem:

— A czemu ty komitadzego ulapiesz?

Zapti się zastanowił, lecz na krótko. Naprzód rezolutnie ruszył, Stanka odedrzwiodepchnął, drzwi otworzył i wszedł do izby przyległej, w której przy ognisku siedziała plecami do wchodzących odwrócona niewiasta. Do niej, niby kurczęta do kokoszy, tuliło się dzieci pięcioro. Niewiasta się nie odwróciła. Zaptije wchodzili jeden po drugim, aż izdebkę

napełnili. Rozumie się, okrom kobiety z dziećmi nie było nikogo więcej. Stróże bezpieczeństwa publicznego oglądali się; jeden z nich spostrzegł drzwi do komórki, pchnął je, zajrzał i próg przestąpił. Za nim poszedł drugi, trzeci, czwarty itd. Drzwi od komórki na podwórko otwierać nie potrzebowali—otwarte były. Poszli więc dalej, oglądając się ostrożnie i ściskając rowolwery i tasaki w dłoniach. Na podwórku znaleźli: dnem do góry wywrócony cebrzyk, garnków parę nadtluczonych, miotłę i śmiecia kupę. Jeden z zaptich cebrzyk nogą dnem na dół przewrócił — pod nim Stojana nie znalazł. Oglądali się. Podwórko otaczał mur, w miejscach kilku rozwalony, za nim rozlegały się ogrody tu, place owdzie, przesmyki gdzieindziej. Zaptije spoglądali, oglądali się, zaglądali, wreszcie jeden z nich do agi z raportem się udał. Aga, który zatrzymał przy sobie zaptich kilku, gdy raportu wysłuchał, kazał dwom Stanka pod wartę wziąć, sam zaś na podwórko wyszedł, rozglądnał się, ręką machnął i do powrotu rozkaz dał.

— A tego pezewenka—rzekł, przez klasę przechodząc i na Stanka palcem wskazując—wziąć, związać i do apsu wsadzić.

Jak rozkazał, tak się stało.

Czekająca przed domem cyganka, skoro siła zbrojna, Stanka związanego prowadząc, ze środka domu wyszła, do agi się zwróciła.

— Ago effendim—zaczęła—któż to was naprowadził, jeżeli nie ja?

— No?.., aga na to.

- Wynagrodzenie moje.
- Kiedyśmy komitadżego nie pojмали.
- Pojmaliście nie tego, to innego.
- Za innego nie przeznaczono ghurusz ty-

siąc.

— Ileż?...—zapytała...

— Nic.

— A jaż chodziła, nie chodziła, prowadziła nie prowadziła; jam sobie nogi na kamieniach poodbijała; jam nie myślała o niczem, tylko o komitadżiluku... Oj! ja...—lamentowała.—Gdybyście nikogo nie pojмали, a tożecie przecie pojмали... nie tego, to innego, i macie teraz kogo czy na pal wbijać, czy ćwiertować, czy na szubienicy wieszać. Jeżeli za jednego obiecujecie ghurusz tysiąc, za drugiego dać warto sto.

Aga odchrząknął grubo.

— Może sto za dużo?... — zapytała, drepcąc obok dostojnika policyjnego.—Może pięćdziesiąt nie będzie dużo, a nie pięćdziesiąt, to dziesięć, a nie dziesięć, to pięć, a nie pięć, to... ile?

Aga nic jej odpowiadać nie raczył. Na podwórcu konaku zaptije odprowadzili Stanka do więzienia, aga zaś wszedł do biura policyjnego, w którym przybyły na niedługo przed nim Aristarchi-bej, na sofie siedząc, papiery przeglądał.

Aristarchi-bej, wydelegowany do prowadzenia śledztwa, nic jeszcze do czynienia nie miał.

Aga na sofie miejsce zajął i o wyprawie swojej opowiadał.

A...—odezwał się śledczy sędzia . — Gdzież ta cyganka?

— Przed drzwiami została.

— Przywołać ją!...

Na stosowny agi rozkaz cyganka wnet do biura wprowadzona została.

— Kiedyżeś i gdzie komitadżego spotkała?...—
Było to najpierwsze, jakie jej sędzia zadał pytanie.

— Z beczki, dżanem, wylazł.

— Z jakiej beczki?

Cyganka rzecz całą opowiedziała i opowiadanie zakończyła reklamacją obiecanego wynagrodzenia.

— *Bakałym* (zobaczmy)... — zareplikował Aristarchi-bej na to.

— Na pięć ghurusz spuściła... wtrącił aga.

— Zobaczmy...—powtórzył?

— Zawszem ja dała nie tego, to innego.

-- Bakałym... Idź sobie tymczasem.

— Odejść mam, dżanem, bez niczego?... — zapylała.

— Hm?... — sięgnął bej do kieszeni, wyjął sakiewkę i podał kobiecie ghurusz jeden, co w monecie francuskiej wynosi centymów 20 (groszy polskich 16).

Cyganka na podziękowanie za hojność taką nie znajdowała wyrazów.

— Bądźże gotową na wezwanie każde...— zalecił jej Aristarchi-bej.

Cyganka odeszła.

— Czy przyprowadzono już mehandżego z Kriweny?...—zapytał agi.

— Przyprowadzono go dziś właśnie.

— Aresztować potrzeba hadži Christa.

— Czy jeszcze więcej kogo?

— To się pokaże później.

— Wygodniejby było nabrać odrazu i zrobić sobie potem *rahat*.

— Trzeba poszukiwania za komitadżim czynić, przy poszukiwaniach trafi się podejrzany niejeden.

— Jaki to podejrzany?...—zapytał aga.

— Taki co z podełba patrzy, taki co się jęka, taki co blednie, taki co czerwienieje, taki co dużo gada, taki co milczy, taki co...

Bej się zamyślił, wyrazów szukając; aga dopowiedział:

— Taki, co pariczki ma.

— No... zapewne... tacy niebezpieczni.

— Szkoda, że na Piotra jest zakaz.

— A no...

— Zkąd ten zakaz?...—zapytał aga.

— Polityka... — odpowiedział Aristarchi-bej, w papierach się zatapiając i na dalsze zapytania agi nie odpowiadając.

Upłynęło około pół godziny.

— Eh...—odezwał się wreszcie—niechże mi tu przyprowadzą mehandżego z Kriweny.

Aga dał rozkaz stosowny; w chwilę później słyszeć się dało podzwanianie łańcuchami i do izby wszedł Peto. Na obliczu jego nie było znać ani zmitrężenia, ani zmieszania. Wszedł w towarzystwie zaptijego i na dany przez Aristarchi-beja znak, na środku izby się zatrzymał.

— Jak się nazywasz?

— Czyż nie wiesz?... Peto się nazywam i tak mnie ludzie nazywają.

— A ojciec twój jak się zwał?

— Na co tobie?... Ojca mego lat temu ze trzydzieści święta pokryła ziemia.

— Jak się jednak zwał?... — zapytał Aristarchi-bej, obok którego kitabdži siedział i zapisywał.

— Jeżeli chcesz wiedzieć koniecznie, ja taić się z czem nie mam... Ojciec mój zwał się Kir-Gica.

— Rodem?

— Ba!... nie wiem. Wiem jeno, że nie tutejszy, ale się tu ożenił i mehanę założył.

— Był to Cincar?

— Cincar, no... Nic w tem złego niema.

— Złego w tem niema nic—odrzekł Aristarchibej—ale złe w tem, żeś się ty, Cincar, wdawał z rają bułgarską, co komitadżiluk prowadził.

— Jam się nie wdawał w nic, tyłkom mój esnaf prowadził.

— Niekoniecznie, kiedy syn twój dopuścił się zbrodni zamordowania *zabita* (oficera) sułtańskiego, kiedy on służbę swoją pełnił.

— Ja wiem, że zabity zamordowany został, ale nie wiem dla czego i przez kogo.

— Przez syna twego, Stojana.

— Jam syna mego w dniu tym nie widział.

— Więc go widział w dniu poprzednim?

— Ani w poprzednim.

— Zkądże on się wziął w chacie Groždana?

— Powiedz mi zkađ, to będe wiedział.

— Powiedz ty mnie...

— Ja ci jedno powiedzieć mogę: nie wiem.

— Nie baw się ty ze mną w wykręty.

— To ty się w wykręty ze mną bawisz.

— Kiedyś syna widział?

— Widziałem go po raz ostatni sześć miesięcy temu... do Wiđdynia jechał.

— Po co?

— Nie pytałem... Stojan w handlu był, a w handlowych sprawach pytania nie uchodzą.

— Toć ci Groźdan do oczu powie, że syn twój rano do niego przyszedł i milazima zamordował.

— A Groźdanowi askierów sześciu do oczu powie, że do mehany przez dzień cały, oprócz nich, nie przychodził nikt inny. Przeciw jednemu Groźdanowi, chrześcianinowi, stoi świadećtwo sześciu askierów, mużułmanów... Które lepsze?

— *Marafet* (sztuka) jakiś zaplątany... — rzekł Aristarchi-bej — ale ja go rozplączę.

— Rozplączę, dżanem... — odrzekł Peto. — Pokaże się może, iż lichu jakieś przybrało na siebie postać syna mego.

— Té... — cmoknął bej. — Nie gadaj ty mi takich koszałek opalek... tem mnie w pole nie wyprowadzisz.

— Hm... — mruknął Peto i zamilkł.

— Pomówimy jeszcze.

— Pomówimy... — odparł mehandzi.

Mehandżego do więzienia odprowadzono, a natomiast postawiono ładzi Christa. Różnica w za-

chowaniu się pomiędzy nimi zachodziła ogromna. O ile tamten był spokojny i siebie pewny, o tyle ten wydawał obliczem zmieszanie i zastraszenie. Zdawało się nawet, że schudł biedak przez tych godzin parę pozostawania pod zamknięciem, pomimo, że mu na nogi nie włożono kajdanek. Wszedł, stanął i westchnął głęboko. Aristarchi-bej począł mu w porządku protokularnym zapytania zadawać: jak się nazywa, kiedy i gdzie się rodził, czym się trudni? i t. d. Hadzi Christo odpowiadał głosem płaczącym, nie licującym z postawą poważnego i zażywnego męża; przy odpowiedziach zaś nie omieszkiał lamentować na temat nieszczęścia, jakie go na głódkiej spotkało drodze.

— Miałeś u siebie w służbie esnafskiej Stożana Kriwenowa?

— Ach! miałem... Ach! ja nie wiem, co mnie opętało, żem go do handlu mego wziął. Byłem ślepy.

— Cóż o nim powiesz?

— Powiem tyle tylko, żebym go nie wziął, choćby mnie na kolanach prosił.

— Byłeś jednak z niego kontent?

— Ach! nie...

— Cóż mu do zarzucenia masz?

— Co mu mam do zarzucenia?... wszystko. Jeżeli zachodzi wina jaka, winien on sam tylko.

— Czemużeś mu dziś rano dał u siebie schronienie?

Zapytanie to, znienacka zadane, było dla bie-

dnego hadźego wystrzałem piorunu, który go prze-
razil, zelektryzował i odwagą strachu natchnął.

Strach ogromnie odważnym niekiedy bywa.

— Schronienie!?!—zawołał. — Jam mu schro-
nienie dawał?!... A niechże mnie ogień spali, ziemia
pochłonie, woda zabierze, jeżeli mu schronienie da-
wał?!... Niech mi oczy powypadają, jeżeli go wi-
dział!

— Nie widziałeś?

— Nie widziałem.

— Bakałym... — rzekł Aristarchi-bej, w oczy
mu się wpatrując przenikliwym sędziego śled-
czego spojrzeniem. — Tyś go widział i nie wydał, jak
to twoją powinnością było... Pomówimy o tem pó-
źniej, a bacz na to, ażeby mówić długo nie potrze-
ba było, bo i twój esnaf na tem ucierpi i sprawa się
twoja nie poprawi. Daję ci do namysłu czas.

Do agi się zwrócił i dał mu rozporządzenie,
ażeby hadźi Christa posadził w więzieniu osobnem,
i włożył mu na nogi kajdany.

— I nie puszczać do niego nikogo—dodał.

Hadźi wyszedł, stękając, pojękując i łamen-
tując.

Z kolei w izbie śledczej postawiono Stanka.
Okuty był; mina jego wyrażała spokój i pokorę.

— Jak się zwiesz?

Na to, i na wszystkie inne protokularne zapy-
tania, Stanko odpowiadał przytomnie i bez jękania
się. Zachowania się tego nie zmienił, gdy nastąpi-
ły zapytania drażliwe.

— Tyś u siebie przechowywał Stojana?

— Nie...—odrzekł.

— Kłamiesz!

— Bronię się, effendim.

— Obrona taka na nic ci się nie przyda, rzecz jest bowiem wiadoma.

— Jeżeli wiadoma, na cóż mnie pytasz?

— Dla dobra twego własnego. Przyznasz się: kara, jaka czeka tych, co zbrodniarzy przechowują, złagodzona ci będzie. Prawda się wynagradza.

— O jakąż ci prawdę chodzi?...—zapytał Stanko tonem takim, jakim zapytują ludzie, zwani głupowatymi.

— Chodzi mi o to, ażebyś powiedział, dokąd Stojan od ciebie poszedł?

— Jaki Stojan?

— Stojan Kriwenow. Znasz go przecie?

— Znam, ale nie o nim powiedzieć nie mogę:

— Nie chcesz?

— Nie to, effendim. Choćbym chciał, nie mogę.

— Przechowywałeś go jednak u siebie?

— Nie.

— Zaptije słyszeli, jakeś na niego zawołał „Stojanie!”

— Chłopcu memu starszemu na imię Stojan.

— Więceś Kriwenowa nie przechowywał?

— Nie.

Stanko w odpowiedziach swoich uciekał się do wykrętów logicznych. Ponieważ Aristarchi-bej zapytywał go, czy Stojana przechowywał, odpowiedział „nie“, dlatego, że się Stojan u niego przechowywał sam. Na zapytanie zaś, czy się Stojan u niego prze

chowował, odpowiedziałby: „nie“, albowiem on to go przechowywał. Nie poczuwał się przytem do obowiązku mówienia prawdy pod przymusem, wobec władzy, co na nieprawdzie stała. Przymusowi czynił zadość, że odpowiadał, od prawdy uważał siebie w sumieniu własnem za uwolnionego, tembardziej, że mówienie jej ściągnęłoby nieszczęście na głów wiele. Głowę swoją miał z góry za straconą, złagodzenie kary przypuszczał wprawdzie, ale kosztem takim, wobec którego wzdrygało się sumienie jego patriotyczne. Urobiło się w nim bowiem skutkiem stosunków, w jakich się kraj jego znajdował, sumienie dwoiste i jedno z drugim nie zawsze w zgodzie pozostawać mogło. Takie to następstwa panowanie tureckie sprowadzało!

— Utrzymujesz przeto, żeś Stojana nie przechowywał?...—zapytał Stanka Aristarchi-bej.

— Nie...—odpowiedział tenże stanowczo.

Stanowczość odpowiedzi tej zachwiała przekonanie Aristarchi-beja. Cyganka zmyśliła może, i albo cała o beczie i pochodzie Stojana historia wymysłem była, albo też skłamanym został pochód. We względzie tym pewności nie było. Cyganka na wiarę nie zasługiwała, zwłaszcza, że „donosowi“ jej zaprzeczał równie Stanko, jakoteż hadzi Christo. Ażeby prawdy dojść, wydobyć należało zeznanie od jednego albo drugiego.

Po odejściu Stanka, Aristarchi-bej sprowadzić kazał Groždana. Z tym ostatnim ambarasu nie miał najmniejszego. Chłop, jak w Szistowie tak tu opowiedział, co i jak zaszło, i z całą, a *in crudo* przedstawioną szczerością, tłumaczył powód morderstwa.

Tłumaczenie wszakże Aristarchi-bej zapomocą zapytań zmodyfikował.

— Na żonę twoją—słowa jego—wyznaczonem zostało gotowanie jadła dla askierów?

— Tak jest...--odpowiedział.

— Na kutię twoją kolej przyszła?

— Tak jest.

-- Dlatego to milazim do kuti twojej przyszedł?

— Nie wiem.

— O kolei wiesz jednak?

— Jakżebym wiedzieć nie miał!

— Jeżeli o kolei wiesz, nie wiedzieć nie możesz o tem, po co milazim przychodził. Jedno z drugim się wiąże... powiedz sam.

— A tak.

— Milazim przeto przychodził do chaty twojej w rzeczy służbowej. Czy nie tak?

— Tak.

Zeznania te kitabdži do protokołu wpisywał.

— Tyś jagnię na kołku zawiesił i skórę z niego zdzierał?...—było zapytanie następujące.

Groźdan wyznał, że się rzecz w istocie tak miała.

— Jaka jest pomiędzy tym słupem, w którym kołek tkwił, a drzwiami chaty twojej odległość?

— Kroków... dziesięć może.

— Słyszałeś przeto, jak się dokonywało morderstwo?

— Nie słyszałem.

— Jak to! nie słyszałeś?...—krzyknął Aristarchi-bej.

— Sł... sł...yszałem... — wybąkał przestraszony chłop.

— Słyszałeś, a zatem... pomiędzy Stojanem a tobą zachodziło porozumienie?

— Ja... nie... nie...

— Mówiłeś przecie ze Stojanem o Bulgaryi Turcyi, i schowałeś go w odai za odzieżą?

— Tak...—chłop na to.

— Jakże porozumieniu przeczyć śmiesz! Zachodziło?...—zapytał groźnie.

— Za... z...za...chodziło.

— Otóż to. Dobrze, żeś się przyznał. Zaznaczonem ci będzie wyznanie dobrowolne...

W sposób ten Aristarchi-bej gromadził materiały podstawowy do procesu, który ucywilizowany wali ejaletu ruszczuckiego chciał, ażeby przeprowadzony został według form, przyjętych w Europie ucywilizowanej. Alboż to Turcyja—co?

V.

Śledztwo w sprawie Stojana zaniepokoiło ludność ruszczucką, bułgarską zwłaszcza. Cyganka nie była jedyną, co z donosem przyszła. Donosicieli znalazło się sporo. Z powodu tego, aresztowania

i rewizye po domach przybrały rozmiar znaczny, siejąc trwogę w łono rodzin takich nawet, co nic sobie do wyrzucenia nie miały. Aresztowanych badano i w większej części na wolność puszczano. Niektórych jednak zatrzymywano; niektórych osobno zamykano. Do liczby tych ostatnich należał hadzi Christo, który, okuty i zamknięty, przesiedział samotnie dzień jeden, drugi i trzeci.

Przyaresztowanie jego przeraziło żonę i córkę, równie jak domowników wszystkich. Zaptijowie, co po niego przyszli, nie tłumaczyli powodu. Powód jednak był znany. Wiedziały o nim żona i córka, ze służby zaś Stefan tylko. Po uprowadzeniu hadzi Christa, hadzi Christica do Stefana się zwróciła z zaklęciem, ażeby milczał.

— Sto ghurusz ci dam, milcz.

— I bez ghurusz milczeć będę.

Bezwarunkowe zaprzeczenie faktu wydawało się ratunkiem jedynym, i tak w rzeczy samej było. Reguły tej, jak wiemy, trzymał się hadzi Christo, wzięwszy przed się postanowienie: nie przyznać się w takim razie nawet, gdyby sam Stojan w oczy mu powiedział, że poranku onego znajdował się pod jego dachem przez pół godziny. Dlatego w więzieniu o nic goręcej Pana Boga nie błagał, jeno o to, żeby Stojan pochwycony nie został. Zresztą na Opatrzność się spuszczał w tem przeświadczeniu, że Pan Bóg nie odwróci oblicza swego od człowieka, co w Ruszczuku najzasobniejszą posiada *dugianę* (sklep), co jest takim poważanym i co ma córkę na wydaniu. Obliczał ofiary, jakie na cerkiew składał; przypomi-

nał sobie zdania, jakie na mezliszu wygłaszał; przypominał sobie posiedzenie u paszy, który go względami zaszczycał; liczył więc na pomoc bożą. Mimo to, osamotnienie ciążyło mu srodze, zwłaszcza, że nie wiedział, jak długo potrwa.

Zakończył się dzień trzeci, zaświtał czwarty hadzi Christo modlił się, kiedy do więzienia wszedł Aristarchi-bej. Wszedł i pozdrowił go uprzejmie.

— Jakże, cóż? namyśliłeś się?...—zapytał.

— Myślę nad nieszczęściem swoim. Wróg mój jakiś zrobił na mnie donos...—odpowiedział głosem płaczliwym, podnosząc ręce, przyozdobione w obroże żelazne.

— Kto donos zrobił, jest to rzecz najmniej-sza...—odparł bej—dość, że donos prawdziwy.

— Nieprawdziwy!...—zaprotestował hadzi.

— Psss...—odparł Aristarchi-bej. — Nie mów tego. Jesteśmy we cztery oczy, opowiem ci przeto jak to było. Chcesz tego?

— Wiedziećbym chciał, kto jest wrogiem moim.

— Nie o to chodzi. Stojan do ciebie, hadzi; przyszedł, tyś mu wydaniem zagroził, aleś na prośbę żony i córki od zamiaru tego odstąpił i on odszedł.

Kupcowi się oczy od zdziwienia zaokrągliły.

— Widzisz, że wiem o wszystkim — ciągnął bej—i nie przez Ducha świętego. Napróżnem więc będzie zapieranie się twoje dalsze. Przyznaj się.

— Ach! przyznałbym się, gdyby było do czego.

— Do tego, że do ciebie Stojan poranka one-

go zachodził, to jedno. A mam jeszcze i coś drugiego.

— O! Boże miłosierny!... — westchnął kupiec.

— Nie trwóż się. Z tobą we cztery oczy, tak jak się we cztery oczy gada, pogadam. Żeby zaś cię ośmielić, zacznę od zapytania: zapłacisz?

Zapytanie to oprzytomniło Bulgara.

— A ile? — odrzekł.

Ph... Za to, żebym cię do jutra do wieczora z apsu wypuścił, dasz mi medżidzi sto; za to zaś, żebym cię uwolnił od zarzutu, drugich sto.

— Sto a sto, to dwieście, hm?... — rzekł hadzi Christo.

— Życie twoje warte tyle dla ciebie. Co? Dla mnie nie warte pół pariczki; ale... dla ciebie?

— No, niema co. Uwolnij mnie jeno.

— Z apsu i od zarzutu. Rozumiesz?

— Rozumiem, że zaczepiany nie będę.

— Nie będziesz zaczepiany jako winowajca, to znaczy, że nie będzie ci groziła ani szubienica, ani wygnanie nawet, ale świadczyć musisz.

— W czym?... — zapytał hadzi Christo.

— W tem, że Stojan komitadziłuk w Ruszczuku prowadził.

— Kiedyż ja, co do tego, o niczem nie wiem.

— Wiesz, czy nie wiesz, to nic nie znaczy. Stojan u ciebie mieszkał; przypomnij sobie, co on gadał, kto u niego bywał, z kim się wdawał, zwłaszcza zaś którzy i kiedy się u niego ludzie młodzi schodzili.

— Co on gadał? gadał o Bulgaryi i jej historii.

— To, jako wskazówka, rzecz ważna.. — zauważył Aristarchi-bej.—Gadał o Bulgaryi i jej historii? hm... Z kimże się wdawał?

— Wdawał się... z każdym.

— Kto u niego bywał?

Hadzi Christo jął przypominać sobie.

— Raz — odrzekł — widziałem Stanka i jakiegoś momka, którego spotykać mi się w czytelnicy zdarzało, nie wiem jednak, co to za jeden... Drugi raz zeszło się u niego kilku, alem ich nie widział, słyszałem jeno, że z godzinę siedzieli.

— Stanko między nimi był?

— Nie wiem. Stało się to w czasie mojej w domu nieobecności.

— Któż ci o tem powiadał?

— Cóрка.

— Ona przeto wie?

— Zapewne.

— Hm?... — mruknął Aristarchi-bej. — Owóż zrobimy tak: żonie twojej i córce odwiedzić cię pozwolę, ty od nich nazwiska tych, co się u Stojana zgromadzali, weź; jutro rano do ciebie raz jeszcze przyjdą i potem ja ciebie odwiedzę i jeżeli mi nazwiska podyktujesz i do świadczenia stanąć zobowiążesz się, więzienie ci otworzyć każe.

— I o dawaniu Stojanowi schronienia mowy nie będzie?... — zapytał hadzi Christo.

— Będzie mowa w razie, gdybyś mi tych nazwisk nie dał. Wówczas bowiem, jako oskarżony, w apsie pozostaniesz. Nie chcesz być oskarżonym, bądź świadkiem; nie zechcesz być świadkiem, bę-

dziesz oskarżonym. *Bilir sen?* (rozumiesz?)... — zapytał.

— *Billirem, effendim.*

— Niech więc tak będzie, *bakałym*.

Ze słowem „*bakałym*” Aristarchi-bej więzienie opuścił, pozostawiając hadżego myśłom własnym. Myślał przeto o uwolnieniu bliskiem, uzależnionem od postawionego przez Aristarchi-beja warunku, rozpadającego się na dwie części: jedną, co mu przykrość sprawiała, drugą, która mu się łatwą do spełnienia wydała. Część pierwsza tyczyła się okupu. Dwieście medżidzi? piękna sumka, żal mu jej było. Kwota ta jednak cóż znaczyła w porównaniu z osobą jego? W mniemaniu własnem więcej on, aniżeli medżidzi dwieście, wart był. Co zaś do części drugiej, ani się nad tem zastanawiał, że na hazard wystawiał los siedmiu ludzi, pomiędzy którymi jednego, którego nazwisko wymienił, zgubił już. Ani mu to w myśli powstało. Pewny nie był, czy żona nazwiska te zna.

— Zna je Ilenka...—powiedział sobie.

Czekał na przyjście żony i córki i doczekał się. Około południa drzwi się dla dwóch niewiast w feredżiach i jaszmakach otworzyły. Przywitanie było rzewne. Kobiety płakały, patrząc na przyozdabiające ręce i nogi hadżego kajdanki. Hadżi Christica ojkała i ohkała, zapytała wreszcie:

— Za cóż to ciebie wzięto?

— Za Stojana...—odrzekł.

Rzecz całą opowiedział.

Hadżi Christicę oburzył Stojana postępek.

— I pocóż mu było na nas nawoływać nie-szczęście? Łotr jakiś! W biedę wtrącił i ciebie i Stanka. Ilenka, skoro ciebie przyaresztowa-no, wnet do baby Mokry poszła i tam się o Stanku dowiedziała. A teraz zaptijowie chodzą, łapią ludzi po kafenach, po ulicach, po domach i do apsu pro-wadzą. Nabrali już może sto, może tysiąc.

Wymieniać poczęła nazwiska, których wyliczy-ła z dziesiątek, nie więcej.

— Bre, bre...—dziwił się hadzi.

— Co to będzie! Co to będzie! Czy kiedy wy-puszczą ciebie?

— Wypuszczą mnie jutro...—odpowiedział ha-dzi, któremu żona lamentami do udzielenia wia-domości tej przeszkadzała.

— Jutro!... — krzyknęła uradowania wielkiego tonem.—Jutro? Czemuż nie dziś?

— Cicho, poczekaj: niechże ci powiem...—refle-ktował ją mąż.

— Mógłbyś wyjść dziś bezpiecznie.

— Mógłbym, ale nie mogę. Dopełnić pierwszej muszę dwóch warunków.

— Jakich?

— Złożyć medźidzi dwieście.

— Majko boża!...—krzyknęła w przerażeniu.— Medźidzi dwieście! Za co?

— Za wypuszczenie z apsu.

— Za wypuszczenie z apsu ciebie medźidzi dwieście, a za dostanie Stojana do apsu tylko osiem!... Jak to być może? czy to się godzi?

— Co innego Stojan, co innego ja.

— Co innego?... jakto co innego?

— No, przecie...—perswadował.

— A i to nam ten Stojan, bodaj go! napędził. O!...—zaczęła, dłoń do góry podnosząc—gdybym wiedziała gdzie on, samaby na niego zaptich naprowadziła.

— Majko!...—odezwała się Ilenka.

— Naprowadziłabym... — odparła w oburzeniu. — Zasłużył na to, ażeby z niego Turcy skórę żywcem zdarli.

— No, nieszczęście—wtrącił hadzi Christo.

— I to przez niego!

— Stało się... — westchnął. — Pan Bóg go za krzywdę naszą pokarze.

— Niechby go pierwiej pokarali Turcy... Oh! gdybym wiedziała gdzie on!

— W Rumunii już zapewne.

Gdy hadzi Christo wyrazi te wymówił, oczy Ilenki takim zamigotały blaskiem, jakim migocą, gdy człowiek, co zwykł prawdę zawsze mówić, schwytany jest na gorącym pierwszego kłamstwa uczynku. Zmieszała się, powieki spuściła i widocznem było, że nad sobą zapanować usiłowała. Odetchnęła. Był to znak, że usiłowanie jej uwieńczył skutek pomyślny. Ojciec i matka, rozmową zajęci, nie zważali na nią.

Hadzi Christo dawał żonie polecenie, dotyczące się podniesienia u *sarafa* (bankiera) kwoty na wykup z apsu potrzebnej.

— Pójdę do niego dziś...—rzekła kobieta.

— Idź nie dziś, ale jutro. Jeżeli pójdiesz dziś, on za dzień dzisiejszy procent potrąci, ale jutro pieniądze weź i od sarafa wprost do apsu przyjdź.

— I ty wnet wyjdiesz?

— A nie... Jeszcze warunek jeden...

— Jeszcze pariczki!...—podchwyciła kobieta.

— Tę...—cmoknął hadzi z uśmiechem i gestem, polegającym na rzuceniu głową w górę.

Gest ten w Turcyi oznacza przeczenie.

— Cóż to przecie?...—zapytała.

— Ij... głupstwo... Chodzi o to, ażeby wymienić nazwiska tych, co to się raz u Stojana w domu naszym byli zebrali. No... i ja nie wiem. W domu mnie wówczas nie było.

— I mnie nie było...—odparła hadzi Christica, do córki się z wyrazem zapytania w oczach zwracając.

— Ilenka ramionami zlekka wzruszyła.

— Na cóż to im?... — rzuciła hadzi Christica zapytanie.

— Wedle komitadziłuka... — odpowiedział hadzi Christo. Pokazuje się, że Stojan komitadżim był.

— Ah... niegodziwiec!... w domu naszym? Z oczu jemu źle patrzyło... któż to przychodził do niego?

— Raz — zaczął hadzi Christo — przychodził Stanko i ze Stankiem momak jakiś.

— Ten, co czaszę stłukł... Oh! natłukłabym ja jemu!...—wtrąciła.

— O tych powiedziałem, ale... o tych innych?...

— Ilenko!... — zainterpelowała hadzi Christica córkę.

Dziewczyna pod jaszlakiem odchrząknęła.

— Tyś w domu była?...

— Byłam.

— I widziałaś?

— Widziałam... ale... hm... alem... zapomniała..

— wybąkała.

— Zapomniałaś?... to być nie może!...

Być musi, majko... — odrzekła dziewczyna głosem, w którym słodycz kojarzyła się w dziwny sposób z postanowieniem niezłomnem.

— No?...—odezwała się hadzi Christica zdziwiona.

— Zapomniałam...—powtórzyła.

— Przypomnijże sobie...

— Nie przypomnę... — westchnęła.

— Przypomnieć sobie musisz, o ojca bowiem chodzi.

Ilenka westchnęła.

— Jeżeli sobie nie przypominisz, to on Bóg wie jak długo w kajdanach w apsie pozostanie.

— Ilenko...—odezwał się ojciec.

Dziewczyna na ojca oczy podniosła. Wejrzenie jej wyrażało w jedno połączone: smutek, boleść i politowanie.

— Bóg wie—ciągnęła hadzi Christica — czy go puszczą kiedy? czy nie wyślą do Akry, jak wysłano tyłu innych... czy mu głowy nie zdejmą...

— Pozostanę oskarżonym. Gdy zaś nazwiska te powiem, będę świadkiem...

Dziewczyna znów na ojca oczy podniosła. Tym razem wejrzenie jej wyrażało politowanie spotęgowa-

ne. Zdawało się, że przemówić chciała. Nie rzekła jednak nic.

— Przypomnij sobie... upominał ją ojciec.

— Przypomnij... — krzyknęła matka, zwracając się do niej z iskrzącym się gniewem wzrokiem.

Ilenka niby winowajczyni, głowę spuściła i milczała.

Hadzi Christica pięści zacisnęła, ręce podniosła i do córki przystąpiła.

— *Nie moj da ja dirasz* (nie zaczepiaj jej)... — tonem przestrogi odezwał się hadzi Christo do żony. Ona się namysli i... przypomni sobie... Do jutra czas.

— Ależ... co się namyslać, kiedy o ojca chodzi?

— O ojca, o matkę i o nią samą... Ona u nas jedna, jedyna i myśmy dla niej zebrali dobro piękne, które zmarnieje, jeżeli mnie na wygnanie wyślą. Kara to najłagodniejsza na takich, w których domu komitadżowie się zgromadzali. Jeżeli ich nie wydam, Turcy powiedzą, że i ja do komitadżiuka należałam. Zważ to jeno — do Ilenki się zwrócił — namysli się i przypomnij sobie...

— Przypomni ona sobie... — wtrąciła matka.

— O! tak... do jutra czas — odrzekł hadzi Christo dobrotliwie. — Ona córka dobra.

Ręce kajdanami dzwoniące wyciągnął i Ilenkę do piersi przygarnął. Od rąk hadżego łańcuchy skrzyżowały się na kibici dziewczyny, która w objęciach ojcowskich płaczem wybuchnęła. Płacz jej udzielił się matce. Hadzi Christica szlochała i wywoływała:

— Ona sobie przypomniał przypomniał... Gdyby nie przypomniała, byłaby... nieszczęsna!... córką wyrodną, niegodną ojca, co dla niej pariczki zgromadził. Oh! ten Stojan... A my ją dla niego przeznaczali...

— Milcz, niewiasto!...—odezwał się hadzi Chrišto do żony, z gestem, upomnienia dłoni wyciągając. — Turcy o tem nie wiedzą, niechże się broń Boże nie dowiedzą... I my o tem zapomnijmy.

I dodał:

— Idźcie już... idźcie... z Bogiem... do jutra.. Od Ilenki zależy, ażebym jutro ztąd wyszedł, albo tu Bóg wie na jak długo i na jaki koniec pozostał

Kobiety łzy otarły, pożegnały się i odeszły.

Z powrotem hadzi Christica pośpieszała tak że Ilence trudno było obok matki zdążyć. Pośpiechu jej powód był ten, że, do domu przyszedłszy, natychmiast rozpoczęła z domownikami śledztwo, dotyczące się schadzki u Stojana. Przez czas ten Ilenka w izbie swojej siedziała i płakała. Hadzi Christica brała każdego z osobna mężczyznę i każdą kobietę na konfesatę, rozpytując, czy nie przypominają sobie młodzieńców, co się raz u Stojana byli zgromadzili. Nikt nie wiedział o tem. Przypomniانو sobie jeno, że dnia pewnego Ilenka wszystkie służki z domu porozsyłała.

— Po co posłała ciebie?... — Stefana zapytała hadzi Christica.

— Patrzyć na Dunaju, czy parochód idzie... a gdym kokonicy powiedział, że w dniu tym parochód nie przychodzi, odrzekła: „Przychodzi nie ten

zwyczajny, niemiecki, ale inny, ingleski... idź i patrzaj, póki nie nadejdzie..." Jam mało nie dwie godziny na skiele czekał i nie doczekał się...

Dla tego rodzaju racyi porosyłane były sługi wszystkie.

— Ona to zrobiła umyślnie, ażeby komitadziłuk osłonić... — domysliła się hadzi Christica.

Z domysłem tym w głowie do izby córki wpadła.

— Gadaj mi, kto na schadzce u Stojana był... — krzyknęła tonem rozkazu.

— Zapomniałam, majko... — odrzekła.

— Kłamiesz!... kłamiesz!... kłamiesz!... Tyś z domu wszystkich rozesłała!..

Ilenka milczała.

— Nie rozsylałaś?... co?... mów!...

— Rozsyłałam, majko.

— Na co?

Dziewczyna nie odpowiadała.

— Wstydy!... sromota!... Sługi to pamiętają i nie wiedzą, że się komita zeszedł, ale wiedzą, że Stojan w domu był i tyś była. Idźże i przekonaj sługi, żeś ty je porosyłała nie na to, ażeby Stojanowi dziewictwo swoje oddać... Idź!... przekonaj!... — wywrzaskiwała, palcem ręki wyciągniętej trzęsąc.

Dziewczyna zbladła, matce w oczy wzrokiem mrocznym patrząc.

— Przekonaj!... przekonaj!... Na czarszuję wyjdź, na środku stań i krzykiem broń dziewictwa twego!..

— Majko!... — jęknęła.

Hadzi Christica patrzyła na nią złośliwie przez chwilę, wreszcie głosem takim, jakby się w nim stukanie słyszeć dawało, rzekła:

— Masz teraz: ojca w nieszczęściu ratować i siebie od sromoty bronić. Powiedz, kogoś u Stojana widziała!... Ojciec wykazał jednego, ty wykaz innych i wszystko do ładu powróci. Zlituj się nad ojcem i nad sobą samą.

— Oh, majko!... — odrzekła — jakże mi to serce szarpie!

Dziewczyna powieki zwarła, dłońmi sobie skroń nie ścisnęła i głowę kiwała.

— Powiedz... — przemówiła do niej z uczuciem matka.

Milczała. Hadzi Christica obok niej przysiadła i za rękę ją wzięła.

— Posłuchaj mnie... — zaczęła łagodnie. — Wiem, z kąd upór twój pochodzi... Wina to nasza, ojca i moja... Myśmy ciebie dla Stojana przeznaczyli, powiedzieliśmy ci o tem i tyś Stojana umiłowała.

— Ja?... Stojana?... Nie!... — krzyknęła, od matki się usuwając; po chwili, kiedy matka ze zdziwieniem na nią patrzyła, głosem spokojnym dodała: — Nie, jam Stojana nie umiłowała...

— Zkądże w tobie taka w uporze zaciętość?... — zapytała hadzi Christica z tropu zbita.

— Nie chcę... nie mogę gubić ludzi, co...

— Co co?... — zapytała z naciskiem.

— Zapominają o sobie dla Bulgaryi...

— I dlatego zgubić chcesz ojca, co nie zapomina o parczkach dla ciebie? Bulgarya waży u cie-

bie więcej, aniżeli esnaf?... Dla głupstwa jakiegoś, co chleba nie daje, zapominasz o obowiązkach córki?... Ach, ty!... ach, ty!... — wywoływała w rosnącym stopniowo gniewie. — Ale... wydobędę ja z ciebie nazwiska tych głupców, co ludziom uczciwym, esnafdzinom poważnym, spokoju nie dają. Wydobędę ja z ciebie nazwiska tych, z którymiś się, jak suka z psami na ciecze związała... Wierzyć zaczynam, żeś się nie ze Stojanem jednym zwąchywała i że na schadzce tej był nietylko Stojan, ale młodzieńców dziesięciu, dwunastu... nie wiem ilu... Paskudnico!..

Gniew w hadzi Christicy wrzał, rozpierał ją. Traciła miarę w słowach i gestach. Z zaciśniętymi pięściami, z roziskrzonym wzrokiem do córki przystępowała i lżyła ją.

— Ale — zawołała — ty masz do czynienia ze mną!... ze mną!... rozumiesz?... Mów!... — krzyknęła.

Krzyknęła i policzek dziewczynie wycięła.

Oklask się rozległ. Ilenka, z miejsca się nie ruszając, błagalne na matkę zwróciła wejrzenie.

— Mów!... — krzyknęła ta ostatnia powtórnie, uderzając ją po twarzy z drugiej strony.

Powtórnie odpowiedziało jej milczenie.

— Mów!... mów!...

Policzki się gradem sypały. Hadzi Christica we wściekłość wpadła. Wycięła córce policzków ze sześć jeden po drugim i zapytała:

— Nie powiesz?

Odpowiedziało jej o litość błagające wejrzenie, które wywarło ten skutek, że ją tembardziej roz-

drażniło. Policzkować zaprzestała, ale córkę za włosy podchwyciła i z sofę ją ściągnęła.

— Nie powiesz?... ha!.. — powtarzała i po podłodze ją ciągała.

Ilenka matce najmniejszego nie stawiała oporu. Ciągana, szarpana, nogami kopana, poddawała się bezwładnie. Rzechy można, że to nie istota żyjąca lecz lalka wielkości kobiety dorosłej, na której kobieta żywa próbuje spędzenia gniewu niepohamowanego. Od czasu do czasu jeno słyszeć się dawały na podłodze jęknięcia krótkie, w górze zaś zapytania, w zadyszaniu zadawane.

— Nie powiesz... co?..

Wstrętna ta scena Bóg wie jak długoby trwała, gdyby nie niepodziewane baby Mokry wejście.

— Toż co?... na Boga!.. — zawołała baba na progu.

Hadzi Christica ręce opuściła.

— Córkę bijesz... poprawiasz... — zaczęła baba.—A jam myślała, że w momencie takim tobie, *komszjo* (sąsiadko), to ani w głowie.

— Nie-po-słu-szna... — wysapała hadzi Christica.

— Nieposłuszna?... ij... to źle...

Ilenka z podłogi się podniosła, do sofę się zwróciła i miejsce swoje dawniejsze zajęła. Wyglądała opłakanie. Policzki jej pały, uszy czerwieniały, włosy w nieładzie, zmięte na warkoczach i zburzone w kosmykach, na twarz i na ramiona spływały, odzież miała na sobie roztarganą i na piersi otwartą. Podłogę zasiewały korale, perły, paciorki i dukaty, co dziewczą głowę i szyję zdobiły.

Baba Mokra, w przeczuciu tej prostej, wrodzonej delikatności uczucia, co w domowe, rodzinne tajemnice wnikać nie pozwala, o powód zajścia nie pytała.

— W złą porę trafiłam...—rzekła.—Odejdę ja..

— Nie... nie... nie odchodź, komszio... — odrzekła hadzi Christica, nie mogąc mówić z powodu zadyszania. — Cze-cze-kaj... R-r-ozsądź...

Dyszała, dyszała i chwila dobra przeszła, zanim hadzi Christica mówić swobodnie zaczęła.

— Rozsądź... — zaczęła wreszcie. — Od słowa jej (na córkę oczami wskazała) jednego zależy uwolnienie z apsu ojca i ona słowa tego powiedzieć nie chce... Uparła się i zacięła... uparła się i zacięła tak, że mnie z cierpliwości wyprowadziła... Ach...—westchnęła.—Cóż ty na to?...

Baba Mokra oczy na Ilenkę zwróciła i wpatrzyła się w dziewczynę, która w stanie, w jakim się znajdowała, miała minę taką, jakby w rzeczy samej zbrodnię popełniła i do niej się poczuwała.

— Tu pod dachem naszym—ciągnęła hadzi Christica—sześć, czy ile miesięcy temu, zebrało się u Stojana komitaǳich kilku, których ona nazwiska zna...

— No?... — zapytała baba Mokra, wejrzenie z córki na matkę przenosząc.

— Niech ona jeno nazwiska te powie, a ojciec jej wnet do esnafu powróci.

Baba Mokra znów wejrzenie z matki na córkę przeniosła i zapytała:

— I ona nazwisk tych mówić nie chce?...

— Nie chce... — odpowiedziała hadzi Christica z przyciskiem oburzenia.

— Hm... zapomniała może...

— Zapomniała!... Tak ona powiada, ale to nie-prawda... Ona *łaże* (kłamie).

— Uhm... niekoniecznie... — baba na to. — Bywa tak... bywa... że człek zapomina... Do głowy nadchodzi tuman taki, iż potrzeba aż pod ewangelię podprowadzić, ażeby pop wodą święconą kropił i modlitwę odmówił, inaczej bowiem tuman ów nie rozejdzie się... I to się nietylko ludziom prostym przytrafia, ale popom nawet... Oto władyka w Szumaniu zaczął akafyst śpiewać i z dnia jednego na drugi słów zapomniał... Zaczął, w książkę się patrzył... e...e...e... czytać nie umiał... Cóż więc dziwnego, że dziewczyna zapomniała...

Hadzi Christica nie wiedziała, co odpowiedzieć na to.

— Jeżeli nie posłuchała, to źle... bardzo źle; ale jeżeli powiada, że zapomniała, to być może... Zostawcie jej do przypomnienia czas, bywa bowiem tak, że człowiek na zawsze zapomina, a bywa i tak że niewiadomo z kąd i dlaczego, przypomni sobie nagle... Toć mnie się trafiło, żem na całych dwa miesiące imię brata mego zapomniała... Rzecz to słyszana?... a przecież tak było... Czy się tobie, kom-szio, nie podobnego nie zdarzyło?...

— Alebym — odparła zagadnięta — przypomniła sobie, gdyby o ojca mego chodziło... Bo to ojciec... ojciec w apsie.

— Cóż... słyszałam, że cię do apsu puszczano?... — przerwała baba Mokra.

— Puszczano...

— Jam właśnie po to przyszła, ażeby się dowiedzieć, co tam słyszać?...

— Cóż słyszać... Hadzi Christo w kajdanach... Głęboko westchnęła.

— Ii... niewielkie to jeszcze nieszczęście... kiedy zaś do hadzi Christa puszczają, jest nadzieja, że go wypuszczą.

— Wypuściliby jutro, gdyby nie ona... — odrzekła hadzi Christica, ręką całą na córkę wskazując. — Niech jeno hadzi Christo nazwiska powie, a wnet z oskarżonego świadkiem zostanie...

— Świadkiem... té... — cmoknęła z akcentem baba Mokra. — Świadczenie takie, to rzecz *hubawa* (brzydka).

— Nie brzydsza niż galery.

— Brzydsza niż szubienica.

Przy zamianie trzech frazesów ostatnich Ilenka na babę Mokrą pełne nieopisanego wyrazu wdzięczności wejrzenie zwróciła.

— Ale — ciągnęła baba dalej — nic mu się tam złego nie stanie... Oplaci się..

— I tak on bez opłatyby nie wyszedł... — odrzekła hadzi Christica z westchnieniem głębokiem.

— To niech nic nie płaci.

— I na szubienicę idzie?

— Gdyby hadzi Christo na szubienicę poszedł, przyspieszyłby nadejście tego momentu, w którym

Bulgarzy za to, że Bulgarzy, na szubienicęby chodzić przestali.

Hadzi Christica znaczenia powiedzenia tego nie zrozumiała. Zrozumiała je za to Ilenka i, jak się zdaje, pod jej to adresem wyrzeczone ono było. Dziewczyna wystosowała do baby podziękowanie nieme i jęła na sobie przyprowadzać do porządku odzież. Baba Mokra hadzi Christicę pocieszała tymczasem, perswadując jej, że hadzi Christowi, jeśli co grozi, to tylko strata pieniężna, która ostatecznie nie do powetowania nie jest.

— Ii... pariczki... pariczki...—mówiła.—Kto je tak jak hadzi robić umie, ten poradzi sobie, byle nasienie miał... A jemu nasienia nie zbrakuje, chociażby przyszło tysiąc jeden i tysiąc drugi medzidzi wyłożyć... Gruba to ryba twój mąż... Nie frasz się nim zbytecznie... Schudnie trochę i tyle.

Hadzi Christicy zawadzało lekceważenie, z jakim baba Mokra o mężu jej mówiła; baba zaś lekceważenie okazywała nie bez racyi. Dowiedziawszy się, że chodzi o bezpieczeństwo sprzysiężonych, których losy spoczywały w ręku Ilenki, chciała tę ostatnią uspokoić co do losu, jaki ostatecznie spotkać może jej ojca.

VI.

Stojanowi się szczęściło. Nie co innego, ślepe szczęście wyprowadziło go od Stanka. Posłał był sobie na podłódze i rozbierać się zamierzał, kiedy o słuch jego obily się wyrazy: „Stojanie, uciekaj!“ Wyrazy te usłyszawszy, przez drzwi wyszedł, na podwórku przez mur przeskoczył i wygonem, na którym w chwili tej żywego nie było ducha, dostał się do muru, otaczającego ogród baby Mokry. Mur ten, dosyć wysoki i szkłem ugarniowany, przedstawiał się jako przeszkoda wielce poważna. Dla ratującego atoli życie własne przeszkoda taka nie jest uiedo przełamania. Muru się schwycił i nie uważał na to, że sobie ręce pokrwawił. Pokrwawił się, pokaleczył, podarł na sobie odzież; dostał się atoli na wierzch i wskoczył do środka ogrodu w gąszcz malin, co wzdłuż muru rosły. Maliny owe były dla niego schronieniem w razie tym najpewniejszym; nikt go nie widział z zewnątrz i nikt z domowników baby Mokry spostrzedz nie mógł. Było to dla niego pomyslnem z tego względu, że nie znał domowników wszystkich i nie wiedział, do jakiego stopnia mógłby pierwszemu, coby go spotkał, zaufać. Maliny osłaniały go całkiem od oczu ciekawych, nie przeszkadzając mu widzieć zdaleka osób, po ogrodzie krążących. Znał i znanym był przez babę

Mokrę, Piotra i Ankę, z tych przeto osobistości jednej wyglądał. Wybrał sobie miejsce dogodne, usiadł i czekał.

Czekanie, powiadają, godziny skraca. Jemu się godziny dłużyły dlatego może, iż spać mu się setnie chciało, a zasnąć, z obawy, ażeby go kto nie zeszedł, lękał się, na odpędzenie zaś snu nie miał pod ręką nic. Próbował myśleć, myślenie atoli spowodowało mrużenie powiek, które, czuł to, że gdyby się jeszcze raz zawarły, byłoby po wszystkim. Więc się zajął czem innem. Studiował kształt lodyg i liści malinowych, porównywał je z lodyżkami i liśćmi innych roślin, pod murem rosnących, medytował nad tem, czyby się nie udało roślin rozmaitych kojarzyć węzłem małżeńskim i medytacja o węzłach małżeńskich roślinnych wprowadziła mu do głowy myśl o Ilence.

— Ot!...—rzekł sam do siebie—przepadła dla mnie.... Ha!...!—westchnął.

Westchnienia tego analiza osobliwego nie przedstawia nic.

Było to westchnienie żalu za istotą, której towarzystwo ozłociłoby życie. Myśl taka sprawia przyjemność niewysłowioną. To też zaprzestał medytować o kojarzeniach roślinnych, myślał o Ilence, myślał, myślenie jego przybierało kształty fantastyczne, wydało mu się, że myśli wciąż a on spał.

Sen jest potęgą, stawiającą zwycięsko czoło niebezpieczeństwom największym. Sypia się przy huku dział, pod gradem kul, nie przeto dziwnego,

że młody człowiek w ciszy i ciepłe zasnął mocno i nie słyszał szmeru, jaki w malinach zrobiło przeciskanie się postaci niewieściej. Była to postać Anki.

Co się w piosnce mówi: „Nie wiem, z jakiego powodu poszła Filis do ogrodu“, to samo powiedzieć można o przyczynie, która córkę baby Mokry zaprowadziła w maliny i doprowadziła do miejsca, zajętego przez człowieka uśpionego. Gdy go zoczyła, cofnęła się zrazu, lecz wrodzona płci niewieściej ciekawość nawróciła ją do niego. Myślała, że to z domowników który. Pierwsze jednak uważniejsze nieco wejrzenie z błędu ją wyprowadziło.

— Czyżby?...—zapytała siebie ze zdziwieniem. Wzrok na chwilkę na śpiącym zatrzymała.

— To on... — szepnęła, poznając go.. — On?... on?...

Blżej podeszła, pochyliła się i wpatrzyła. Wpatrzyła się i siła jakaś nieprzeparta wejrzenie jej do niego przykuwała. Oczu oderwać nie mogła od twarzy, co się przy oddychaniu nadymała, od postaci nacechowanej bezwładnością, od młodzieńca, na którego głowę biegło stracenie. Z racyi tej młodzieńiec ów, który, gdy go widywała dawniej, nie sprawiał na niej wrażenia najmniejszego, w chwili tej wydał się takim jakimś, że mu się napatrzeć dosyć nie mogła. Przejmowała ją litość głęboka a rzewna, i litość ta potęgowała się w miarę, jak się mu przypatrywała. W myśli tej snuły się chcenia różne, mające osłonięcie go na celu. Osłoniłaby go ciałem

własnem, rozpostarłaby się nad nim, ażeby go oko ludzkie żadne, z wyjątkiem jej, nie oglądało.

Ani matki, ani brata w domu nie było. Baba Mokra do dugiany odeszła, Piotr w interesach handlowych wyjechał. Stojan przeto znajdował się całkowicie pod jej opieką i na jej odpowiedzialności. Opieki tej i odpowiedzialności doniosłość, w takich, jakie się jej dostały, warunkach, rozumiała i czuła. Niezwłocznie też zajęła się ubezpieczeniem młodego człowieka. Chodziło przedewszystkiem o to, ażeby od ogrodu odwrócić uwagę sług, porozdawała więc im zatrudnienia, nie mające z ogrodem styczności najmniejszej. Następnie komórkę do przyjęcia lokatora naprędce przysposobiła i, gdy tego dokonała, usiadła z robotą w punkcie takim, z którego widnem jej było to w malinach miejsce, gdzie Stojan spał. Z miejsca tego oczu nie spuszczała. Patrzyła i myślała, myślała o monasterze, do którego się wybierała. Od tego zaczęła i początek ów doprowadził ją nieznacznie nie do celi, ale do domu gospodarskiego, służącego za mieszkanie parze małżeństwa młodego. Rośla. Rojenie malowało w jej wyobraźni obrazy mgliste, w których widziała niby siebie, niby nie siebie.

— Będę nad nim czuwała sama... sama...

Wyraz „sama” sprawił Ance rozkosz tak wielką, że gdyby w chwili tej powiedział jej kto: „Idź do monasteru; jeżeli niezwłocznie nie pójdziesz, będziesz się musiała monasteru zrzec nazawsze”, zawahałaby się.

Czuwanie czynne zacząć się musiało od przeprowadzenia Stojana z malin do komórki. Było to zadanie do rozwiązania niekoniecznie łatwe. W przejściu przez ogród oko czyjeś zobaczyć go mogło. Jak zaradzić temu? Na moment ów możnaby pooddalać sługi, ale nie można było zaręczyć, że się nie trafi przypadek. Gwarancyą niejaką przeciw wypadkowi byłoby czekanie z przeprowadzeniem do nocy. W takim atoli razie do nocy musiałyby oczu od malin nie odrywać, coby ją pozbawiało możliwości udzielenia Stojanowi posiłku, którego on, obudziwszy się, potrzebować będzie.

— Głodny być musi—rzekła do siebie.

Żal jej się go zrobiło niewymownie. Nad zaspokojeniem głodu jego myślała i cały sobie w głowie *menu* śniadania dla niego ułożyła.

— Ale... jak go tu z malin wyprowadzić?

Zapytanie to zajęło jej wszystkie władze umysłowe. Myśl natężyła i sposób znalazła. Z uradowania mało w dłonie nie klasnęła. Wszak się w nim Stojana nikt nie domysli, jeżeli go odzież niewieścia osłoni. Na pomysł ten wpadłszy, wnet jaszmarek swój feredzie, w których na ulicę wychodziła, w zawiątko zwinęła i do ogrodu wyszła. O to jej chodziło, ażeby zwitek ów obok Stojana położyć. Puściła się więc w kierunku miejsca spoczynku jego kiedy dochodziła, serce jej mocno bić poczęło.

— Czy śpi jeszcze?... czy się obudził już może?

Przystanąła, znów ruszyła, oglądnęła się do tyłu, jeszcze przystanąła, doszła wreszcie, ale krzewów malinowych rozchyłać nie śmiała. Przez chwilę

nasłuchiwała. W końcu się na odwagę zdobyła i w głąb zarośli wsunęła.

— Co to?...—sama siebie zapytała.

Miejsce, na którem Stojan spał, próżne było.

— Odszedł?... dokąd?

Smutek i przestrasz ją ogarnął. Nie umiała sobie sprawy zdać, jakby odejść mógł, kiedy ona go na chwilkę jedną z oka nie spuściła. Cóż to się stało? Zagadka.

Zagadka się rozwiązała wnet. Stojan się obok niej tak niespodziewanie zjawił, że krzyknęła:

— Ah!...

— Cicho... — syknął i półgłosem dodał: — Wyglądałem baby Mokry, Piotra albo ciebie, ażeby was o schronienie dla siebie poprosić.

— Masz—odrzekła, zwitek mu podając.

Stojan zwitek do ręki wziął, obejrzał, rozwinął i kiedy ze środka jaszmak wypadł, zapytał:

— Toż co?

Dziewczyninie serce mocno biło i takie nią zmieszanie owładnęło, że odpowiedzieć nie umiała.

— Uh?...—odezwał się przeciągle, gdy feredziego rozpoznał.—Czy to dla mnie?

— A tak...—odszeptała.

— W to się odziać mam?

— Tak... — znów szepnęła, oczu podnieść nie śmiąc.

— Cóż z wążami i brodą zrobię?...—zapytał.

Zapytanie to zabrzmiało tonem żartobliwym, ton zaś żartobliwy posiada, jak wiadomo, własność

uspokajania lękliwych i ugłaskiwania surowych dziewcząt.

Anka z pod oka na Stojana spojrzała.

— Wąsy moje z pod jaszmału wylizają.

Rzekłszy to, jął muślinem, używanym w Turcyi przez niewiasty do osłaniania wdzięków, głowę sobie obwijać. Szło mu to niezgrabnie. Złożyć jaszmału jak należy, nie umiał, i sformował sobie na głowie zawój, który, sam przez się potworny, przy odzieży męskiej wyglądał śmiesznie.

— A co, dobrze?...—zapytał.

Anka spojrzała i usta ścisnęła.

— Piękna ze mnie hanem?

Dziewczyna głowę odwróciła i śmiechem parsknęła.

— Włożyć teraz feredzie?

— Ależ nie — odrzekła.

— A cóż?

— Jaszmał trzeba zawinąć inaczej.

Stojan muślin z głowy odjął i jął się nim obwijać.

— Nie tak.

— Jakże?

— Zakładkę naprzód zrobić należy.

— Tu?

— Nie tu.

— Zróbże zakładkę sama.

Anka muślin do rąk wzięła i złożyła go tak jak się jaszmał składa.

— O...—rzekła, pokazując.

— A dalej?

— Bierze się to na czoło i zakłada pod brodę, a potem w tył głowy.

Stojan głowę swoją nastawił jej i ona, zawa-
hawszy się zrazu, ręce pomknęła i obwiązania jas-
maku wedle reguł dokonała. Pod gęstemi fałdami
muslinu znikła broda, znikły wąsy, pozostało jeno
na widoku trochę nosa, oczy i czoło.

— Dobrze?

— Dobrze teraz...—odpowiedziała.

— Pozostaje jeszcze feredžia.

Anka podala mu noszący nazwę tę płaszcz
długi, czarny (Turczynki jeno miały prawo nosić
płaszcze różnokolorowe), który on na siebie włożył
i gdyby nie wyglądające z pod płaszcza buty i spo-
dnie za kobietę uchodzićby mógł.

— Idźmy więc...—rzekł, i ruszył.

— Czekał!...—zawołała Anka.

— Gdzie?

— Tu... Poczekał, malco... aż ja powrócę.

Odeszła, odbiegła raczej, celem zrobienia po-
rządku ze sługami. Tę wyprawila po ocet, ową po
jedwab, inną po iglicę i t. d. i, rozesławszy wszyst-
kie, do ogrodu wróciła.

Stojan tego był przekonania, że przebranie za
kobietę miało na celu przeprowadzenie go przez
miasto. W przekonaniu tem zwrócił uwagę na bu-
ty i spodnie swoje i wpadł na domysł, że Anka po-
szła po szalwary i pantofle.

— Ale—strzelilo mu w głowie zapytanie—cze-
muż ona szalwarów i pantofli wraz z feredzią i jas-
makiem nie przyniosła?

Anka powróciła w chwili właśnie, gdy się w umyśle jego zapytanie to sformowało. Powróciła i, w maliny nie wchodząc, zawołała:

— Chodź!

Stojan się z zarośli wynurzył.

— Chodźmy prędko... — rzekła i przodem ruszyła.

Przez ogród para ta młoda biegła prawie. Stojanowi się w feredzi nogi plątały, podążał jednak za przewodniczką, która go na podwórze, z podwórza na podwórko, z podwórka do domu schodami krętymi wprowadziła, otworzyła drzwi do sieni, z sieni do izby, w izbie do szafy i, wskazując mu jej głąb, rzekła:

— Idź tam!...

W szafie tylna ściana, podniesiona, drągiem była podparta. Gdy Stojan po za nią wszedł, dziewczyna drąg usunęła, ściana się zamknęła a on znalazł się w izdebce, mającej dziesięć kroków długości, a cztery szerokości, oświetlonej z boku oknem długiem a wąskim, i z pozoru wyglądającej na wnętrze skrzyni. W izdebce pod jedną ze ścian leżały zwinięte *jastuki* (materace i poduszki, wogóle pościel), pod innemi ścianami graty różne, pomiędzy którymi drabinka, służąca do schodzenia i wchodzenia przez otwierającą się w jednym z kątów podłogę. Otwór prowadził do przesmyku wśród zabudowań na jednym z podwórek, stanowiącem tajemnicę płci niewieściej, potrzebującej skrytek w razie wypadku,

Ściana się zamknęła i Stojan pozostał sam. Oglądając się, przeszedł i na jastuku usiadł.

— Cóż dalej?...—zapytał sam siebie.

Powrócił do zapytania ostatniego, jakie sobie w malinach zadał.

Znów jednak, zanim odpowiedź domyslną sformować zdołał, zaszła przeszkoda, która mu ciąg myślenia przerwała. Przez otwór w ścianie wysunęła się taca, a na niej sładko, woda i kawa czarna. Stojan wstał i podszedł. Za tacą ukazało się oblicze Anki. Młody człowiek łyżeczką zaczerpnął sładka, wody się napił, kawę wziął, podziękował i zapytał:

— Powiedz mi, Anko, dlaczegoś z feredzią i jaszmaikiem w maliny weszła?...

— Dlatego, żeby ciebie w przejściu przez ogród nikt nie poznał.

— Któż ci powiedział, że w ogrodzie?...

— Nikt...—odrzekła.

— Aleś feredzię i jaszmak przyniosła dla mnie?...

— Dla ciebie, a to dlatego, że za głowę twoją wyznaczono nagrodę...

Była to dla Stojana wiadomość nowa, odezwał się więc:

— Nagrodę?... za głowę moją?...

— I wielką: jedną hiliadę ghurusz...

— Nie wiedziałem o tem...

— Jedną hiliadę ghurusz... — powtórzyła dziewczyna, od otworu się cofając i znikając.

Stojan znów pozostał sam, znów miał o czem myśleć i znów przeszkodziło mu wysunięcie się przez

otwór tacy, zastawionej jadłem rozmaitem: szynka, ozór, kawior, ser, hałwa, oliwki, chleb i butelka wina.

— *Paftim* (proszę)...—odezwał się głos Anki.

Stojan tacę wziął, chciał się w rozmowę wdać, lecz nie miał z kim. Dziewczyna znikła. Do czynienia przeto nie miał nic lepszego, jeno zabrać się do spożywania darów bożych, które mu się tem smakowitsze wydały, że przez trzy dni pożywał się tylko cebulą, serem i mamałygą, którą w kriwienie dostał. Zmiotł więc wszystko, co na tacy było, tacę z naczyniem w kącie postawił, jastuk rozesłał, położył się i leżał. Na Ankę czekał. Czekał jednak długo. Godziny upływały, w otwór spoglądał nadaremnie; nie nudził się jeszcze, przewidywał atoli, że gdyby tak potrwać miało długo, opanowałyby go nudy śmiertelne. Leżał, wstawał; opatrzył izdebkę i wszystkie w niej sprzęty, odkrył tajemnicę otwierającej się podłogi; poznał, że zachowywać się winien bardzo cicho, ażeby nie zdradzić obecności swojej przed domownikami i powiedział sobie:

— Oszalećby przyszło, gdyby to tak tydzień ja-ki potrwać miało... Czemu Anka nie przychodzi?...

Wieczorem dopiero w otworze zjawila się nie Anka, ale baba Mokra.

— Dobro doszeł...—rzekła.

— Babo... — zapytał — czy ja tu długo pozostanę?...

— Aż Piotr powróci... dni kilka. Pokazywać ci się nie można, za tobą bowiem trzęsą w mieście i z two-go powodu do apsu wzięli hadzi Christa, Stanka, Petka, Georgia, Marka...

— Jakże się oni o mnie dowiedzieli?...—zapytał zdumiony.

— Śladem twoim szli i ślad u Stanka zgubili.

— Dziwo... dziwo...

— Ktoś ciebie widzieć musiał...

— Na mieście psy jeno spotykałem... Chyba wiadomość od hadzi Christa wyszła... Ale hadzi nie wiedział, dokąd od niego poszedłem...

— Koniec końcem, opyt o tobie Turcy wzięli i ślad u Stanka zgubili... Szukają też ciebie i tu zapewne przyjdą, ale ja im będę szukać pomagała... Cicho jeno siedź... Nie zbraknie ci tu na niczem...

Powiedziawszy to, odeszła. Wkrótce po niej w otworze zjawiała się Anka z tacą, jadłem napelnioną.

— Rano o tytuniu zapomniałam... — rzekła — przyniosłam ci teraz tytuń, papierki i zapalki...

— Dziękuję ci... nie palę...

— Narghile palisz może?...

— Nie... Ale...

Indagacyę rozpocząć chciał nanowo, lecz się Anka o tacę, na której śniadanie przynosiła, upomniała i, dostawszy ją, znikła.

Stojan się do spożywania obiadu zabrał; podjadł sobie należycie; przysposobił otwór w podłodze i drabinę do wyjścia w nocy na świeże powietrze, i o spoczynku nocnym już zamyślał, kiedy w otworze usłyszał wymówione imię swoje:

— Stojanie... — odezwała się Anka głosem, który brzmiał srebrzyście.

— A?...—zapytał, do otworu się zwracając.

— Tę mi podaj...

Stojan tę z podłogi podniósł i przed otworem z nią stanął.

— Czy ci nie brak czego?...

— Ty się zjawiasz i uciekasz, niby od zapowietrzonego...

— Ja... — odparła dziewczyna — ja... nie uciekam...

— Przecież pomówić z tobą nie mogę...

— Mów... — szepnęła.

— Co tam u hadzi Christo słyhać?...

— Majka się dowiadywała... Hadzi w apsie, w domu u niego płaczą i na ciebie się skarżą...

— Ja bo nie rozumiem, jak się to stało, że się o odwiedzinach moich u niego Turcy dowiedzieli... Czy się hadzi Christo sam, czy się Stefan może wygadał?...

— Nie wiem... — odrzekła dziewczyna.

— Nie możnaby się dowiedzieć o tem?...

— Zapytam... — i po chwili dodała — Ilenki...

— A tak; Ilenka zapewne będzie wiedziała, a gdy z nią będziesz mówiła, poproś jej, ażeby w izbie mojej poszukała pisma jednego, które schowałem we drzwiach od szafy za drzewem... szafa druga na prawo... Hadzi Christo tak nagle i niespodziewanie mnie od siebie wygnął, że nie mógł pisma tego zabrać i zniszczyć... Gdyby się, broń Boże, Turkom w ręce dostało, byłaby bieda...

— To jakże... — zapytała Anka. — To Ilence powiedzieć chyba, że u nas?...

— Powiedzieć?... hm?... Jak myślisz?...

— Inaczej, cóż jej odpowiem, gdy zapyta, zkąd o piśmie tem wiem?...

— Prawda... powiedzieć potrzeba...

— Zaknę ją...

— A dobrze...—odrzekł i zapytał:—A od Stanka co słyhać?...

— Biedna żona jego w smutku wielkim...

— Ah!...—zawołał Stojan.—Żona i dzieci jego na sumieniu mi zaciążą, jeżeli się on z rąk tureckich nie wykrepi jako...

— Bóg nad nim i nad niemi czuwa... On osłonił i ciebie...

— Biedny Stanko...—westchnął.

— Módlmy się o niego i uszanujmy wolę bożą, bez której włos mu z głowy nie spadnie... — rzekła z namaszczaniem, znamionującym, że się przysposabiła do klasztoru, do którego obecnie poszłaby może, ale nie bez żalu za światem.

Stojan noc spędził spokojnie i nazajutrz cztery razy rozmawiał z Anką. Za ostatnim razem wręczyła mu pismo, którem się niepokoił. Była to kopia raportu do komitetu, zasiadającego w Bukareszcie, o zawiązaniu się komitetu w Ruszczuku i o przysiędze. Data i zanotowane inicjałami nazwiska członków posłużyć mogły jako ważne w dochodzeniu skazówki. Przy pomocy zapalki zniszczył Stojan dokument ten i wyraził z tego powodu Ance wdzięczność wielką.

— Dziękuję ci, o dziękuję... Uspokoilaś mnie w sumieniu...

— Dziękuj Bogu...

— Że mnie na ciebie naprowadził...

Słowa te sprawiły na dziewczynie wrażenie rozkoszy, jakiej nie doznawała nigdy w życiu.

VII.

Aristarchi-bej prowadził śledztwo energicznie. Podejrzanych miał huk. Pobudzeni w gorliwości za-ptije chwyтали ludzi na chybił trafił. To się działo w mieście; na prowincyi zaś ludność muzułmańska i Czerkiesi dozorowali po wsiach i dostawiali do konaku osobistości, które się im podejrzanemi wydawały. Codziennie po razy kilka sprowadzano delikwentów tego rodzaju, których część jakaś w więzieniu pozostawała, nie dlatego, że się winnymi okazali, ale, jak się Aristarchi-bej wyraził, dla pokazania Europie „procesu potwornego“ (*procès monstre*) i skompromitowania mocarstwa pewnego, zajmującego się zbyt łagodnie losami poddanych Wysokiej Porty. Władze szykowały proces tendencyjny i stosownie do tego prowadzono badania. W dochodzeniach punkt ogniskowy stanowiła owa schadzka u Stojana, która się zahaczyła na Ilence. Nazwisk uczestników jej potrzeba było Aristarchi-bejowi koniecznie, jako faktu, świadczącego o „konniwencyach“ (wyr. techniczny) politycznych knowań bułgarskich.

— No i cóż?... — zapytał hadži Christa, przyszedłszy do więzienia nazajutrz po bytności pierwszej.

— Oto... — odpowiedział zapytany, wręczając mu worek ze złotem.—Licz..

— Takiemu, jak ty, kupcowi rzetelnemu, na słowo wierzą... Liczyleś?

— Liczyłem.

— To dosyć. No, a dalej?

Hadži Christo westchnął z głębi piersi i ramionami wzruszył.

— Nazwiska?

— Znam dwa tylko: Stojan i Stanko. Co się zaś trzeciego tyczy, poznałbym, gdybym chłopca tego zobaczył.

— To schadzka jedna... w ogrodzie: „schatzka ogrodowa“, tak ją w protokule zapisać kazałem; ale chodzi mi o drugą... w izbie.

— Nie wiem, beju effendim.

— Widziałeś się przecie z żoną i córką.

— Widziałem się. I one nie wiedzą.

— Sługi?

— I sługi nie wiedzą.

— Hm?...—mruknął bej.—Czy wiesz, że to wygląda tak, jakgdybyś do zмовы należał?

— Bodajby mi w chwili tej ziemia święta pochłonęła, jeżeli się zмовы jakiej palcem, ot tym maleńkim, dotykał!... Bodajby...

— Wyprzysięgać się nie potrzebujesz — przerwał bej.—Przekonany jestem, że nie należysz do niczego występnego, tembardziej, że gdyby nie ty, nie

wiedziałbym o schadzce ogrodowej. Pozory jednak mówią przeciw tobie.

— Cóż ja zrobię—zawołał hadzi Christo głosem płaczącym—ażebym mógł wiedzieć, o czym nie wiem.

— Dowiedzieć się.

— W apsie?...—zapytał hadzi Christo.

— Hm?... Nakręcasz na to, ażebym ciebie apsu wypuścił!. Dobrze...

Hadzi Christowi oblicze się wyrazem wdzięczności rozjaśniło.

— Ale...—zaczął bej—pod warunkiem.

— Pod jakim?...—odezwał się tonem, zaniepokojenie wewnętrzne zdradzającym.

— Wypłacisz mi jeszcze miedźidzi sto i będziesz się dowiadywał.

— Przyślij mi więc żonę dziś jeszcze.

— Na co?

— Dla podniesienia kwoty od sarafa.

— Podniesiesz ją sam... Ufam, ci, hadzi... tyś zlek rzetelny i uczciwy (wyraz ten czysto w uszach beja zabrzmiał). Puścić cię z apsu każę natychmiast, pierwszy jeno rozmówię się z tobą co do sposobów, jaki się dowiadywać masz...

— Eh?...—zapytał hadzi uspokojony.

— Potrzeba, żebyś sobie poczyniał ostrożnie. Nie ciągnij za język wprost, ale tak nieznacznie, udawaj Bulgara-patryotę. Żeś w apsie siedział, ci zadanie ułatwi. Głupcy gadają już: „A patrz, ci, hadzi Christo... ktoby się spodziewał!...” Ty wierz się jednemu, drugiemu; ja zaś tymczasem w domu twoim rewizyę ścisłą zarządzę; może

się też co znaleźć da w izbie, w której przemieszkiwał Stojan.

— *Pek-ii...*—hadzi na to.—Kiedyż rewizyę zrobisz?

— Kiedyś. Czy w izbie tej po Stojanie mieszkał kto?

— Nikt.

— Baczże, żeby tam nic nie ruszano. Powołano cię do protokołu i z biura do domu już sobie pójdziesz.

Na powołanie hadzi Christo czekał niedługo. Po odejściu beja w półgodziny może nadszedł zaproszenie i do komisji go poprowadził. Aristarchi-bej, w obecności agi, sekretarza, protokulisty i paru dragomanów konsularnych, zadawał mu zapytania. Najpierwsze tyczyło się schadzki ogrodowej:

— Kto w schadzce tej udział brał?

— Stojan, Stanko i jakiś chłopak młody.

— Czyś ty do niej nie należał?

— Nie należałem.

— Jak o niej wiesz?

— Z okna widziałem zgromadzonych.

— Czemuś z początku nazwiska ich tail?

— Nie pamiętałem; przypomniałem sobie później dopiero.

— Wówczas, kiedy tobie przypominano... — rzekł Aristarchi-bej z akcentem nagany.—A ta schadzka druga?

— W domu mnie wówczas nie było.

— Słyszałeś jednak o niej?

— Słyszałem, alem do tego wagi nie przywiązywał.

— Czyś słyszał, że ci, co w niej udział brali, chodzili w maskach na obliczach?

Zapytanie to sprawiło wrażenie. Dragomani konsularni zwrócili na Aristarchi-beja wejrzenie zdziwienia, bej zaś spoglądał na nich z wyrazem w oczach, mówiącym: „Widzicie, do czego to dochodzi!“ Hadži Christo odpowiedział:

— Podobno... nie wiem... W domu mię nie było, a miałem Stojana za młodego człowieka statecznego.

— Widzisz, jak to pozory mylą — odezwał się bej tonem nauki moralnej. — Spodziewać się należy, iż będziesz nadal oględniejszy w dobieraniu urzędników do handlu. Dzięki urzędnikowi, któregoś lekko-myślnie przyjął, nagromadziły się przeciw tobie pozory, które cię powinny na ławie oskarżonych posadzić. Wyznać jednak potrzeba, że są to tylko pozory, a rząd jego sultańskiej mości na pozorach opierać się nie chce. Śledztwo ścisłe faktów pozytywnych, świadczących o udziale twoim w knowaniach występnych, nie wykazało. Z drugiej znów strony życie twoje naganie nie podlega. Z powodów tych uwalniam ciebie od zarzutów, z tem zastrzeżeniem, że będziesz na każde sądu zawołanie i będziesz się starał oświecać sprawiedliwość na drodze ciemnej, na której za wytyczne służą morderstwa. Knowania zbrodnicze nie mogą do innych doprowadzać rezultatów.

Przemówienie to, wygłoszone pod adresem reprezentantów zagranicznych, wywołało z ich strony zupełne uznanie. Dragomani głowami kiwali. Aristarchi-bej kazał nawet zdjąć kajdany z rąk i nóg hadži Christa i zaprosił go do zajęcia obok siebie miejsca.

— Śpieszy ci się do domu...—rzekł uprzejmie.—Niecierpliwy jesteś dostać się do żony i córki. Rozumiem niecierpliwość twoją; poczekaj jednak chwilę... potrzebny będziesz.

Hadži Christo na sofie usiadł; podano mu kawę i cybuch, i kiedy Aristarchi-bej udzielał reprezentantom zagranicznym objaśnień, dotyczących się maskowania, wprowadzono Stanka. Bej do dragomanów mówił po francusku.

— Sztuka jest prosta...—słowa jego.—Na ulicy idzie się bez maski, którą się na twarz wkłada u wnijsćia do domu, w tym celu, ażeby się nie dać domownikom poznać. W sposób ten panowie ci zacierają za sobą ślady. Jesteśmy jednak na tropie...

Aristarchi-bej zwrócił się do przyprowadzonego Stanka i, wzięwszy do ręki papier zapisany, zadał pytania następujące:

— Dnia szóstego maja roku bieżącego czyś się znajdował w ogrodzie hadži Christa?...

— Nie pamiętam dnia, w którym to było, ale przypominam sobie, że się w ogrodzie hadži Christa znajdował.

— Było was trzech?

— Trzech...

— Wymień towarzyszków swoich nazwiska...

— Nazwisk wymienić nie mogę.

— Czemu?

— Dlatego, że jeżeli bytność ta pociągnąć ma odpowiedzialność jaką, chcę odpowiadać za siebie, ale nie chcę na odpowiedzialność narażać innych. Nie pozwala mi na to sumienie.

— Sumienie jednak nie powstrzymało cię od brania udziału w czynnościach występnych.

— Czynności, które ty, beju, występniemi nazywasz, nazywają się u ludzi cnotą.

— Zapominasz, że masz dzieci i żonę, które nie wyjdą dobrze na twojem pojmowaniu cnoty.

— Przynajmniej żona męża, dzieci ojca wstydzić się nie będą... Donosicielem być nie chcę i nie mogę, i nie pytaj mnie, beju, o nic, co donosicielstwem trąci...

Hadzi Christo oczy to spuszczał, to podnosił, migotał niemi i biorąc do ust bursztyn, który cybuch zdobił, nie umiał do gęby dymu wciągnąć.

— Jednym, co w schadzce ogrodowej udział wziął, był Stojan Kriwenow.. — rzekł bej, z papieru czytając i, zwracając się do hadzi Christa, zapytał:— Wszak tak?

— Ta...ak, effendim... — była odpowiedź wybąkana.

— Widzisz, na nic się nie przyda osłanianie się cnotą mniemaną... Tej powagi i znaczenia, co hadzi Christo, obywatele nie podzielają przekonań twoich.

— Może to dlatego—odparł Stanko— że hadzi Christo ma do stracenia i sumienie i majątek, ja zaś.. sumienie tylko.

Aristarchi-bej podkreślił wyrazy te znaczącem na reprezentantów mocarstw zagranicznych wejrzeniem, jakby im mówił: „*Hear! hear!*“

Hadzi Christo z cybucha tak silnie pociągnął, że się dymem zachłysnął i, usiłując kaszlem nie wybuchnąć, dusił się. Wreszcie dłonią sobie usta zasłonił i w kułak kaszlać począł. Wypadek ten bez następstw przeminął. Indagacya toczyła się dalej. Aristarchi-bej schadzki w domu nie dotykał, wiedząc z góry, że ze Stanka wyznania nie wydobydzie. Stanko zresztą w schadzce tej udziału nie brał.

Stanka odprowadzono. Po nim nastąpiła procesya ludzi młodych, których Aristarchi-bej przed oczyma hadzi Christa przeprowadzał, chcąc, ażeby ten poznał tego trzeciego, co do schadzki ogrodowej należał. Indagacya z nimi odbywała się pobieżnie. Bej rzucał każdemu po parę zapytań i odprawiał; przy wprowadzeniu zaś każdego nowego patrzył pilnie w oczy hadzemu, który znaku nie dawał najmniejszego. Gdy się procesya ta skończyła, oznajmiono bejowi, że Czerkiesi delikwenta jakiegoś przyprowadzili. Bej giest niecierpliwości okazał i rzekł:

— Niech go wprowadzą!

Dwaj Czerkiesi weszli, popychając przed sobą parobczaka lat dwudziestu paru, w abiczce, spodniach sukiennych grubych, kołpaku baraním ogromnym i chodakach chłopskich. Aristarchi-bej w chwili wprowadzenia delikwenta tego nie spojrzał na hadzi Christa, a byłby ujrzał dziwną w oczach jego zmianę. Na widok parobczaka w oczach mu strzeliło zdziwienie. Poznał w nim szukanego trzeciego. Bej jednak

na niego nie patrzył, ale z wyrazem niechęci na obliczu słuchał raportu Czerkiesów, którzy opowiadali, jak *dżanabeta* (łotra) tego spotkania we wsi, chodzącego od chaty do chaty.

— I cóż?...—zapytał bej.

— I nic.. —odpowiedział z Czerkiesów jeden.—
Dżanabet chodził, chodził, chodził.

— I kiedym do niego przemówił—dodał drugi—
jąkał się.

— Coś za jeden? —zapytał parobczaka Aristarchi-bej.

— T-t-t-to... t-t-t-am b-b-b-by... by... by...

— Jąkała...—rzekł bej.—Zkądeś?

— Z k-k-k-ki-sz-sz-sz z ki-ki-ki...

Ledwie nieledwie wymówił: „Z Kiszli.“

— Owczarz jesteś?

— Ta-ta-ta-ta-ta...

— Puścić go!... precz wypędzić!...—rzucił bej za-
ptim rozkaz, a do Czerkiesów mowę zwracając, prze-
mówił do nich tonem nauki moralnej:—Nie naprowa-
dzajcie mi ludzi, z którymi się tylko czas traci... I bez
tego mam kłopotu dużo... Wyrażnie wam powiedzia-
no: łapajcie podejrzanych... Cóż to za podejrzany?...

— Niezwyczajny...—odrzekł Czerkies jeden.

— Gdy do mnie t-t-t-t zagadał—dodał drugi—
jużem szaskę chwycił i łeb mu odciąć chciałem.

— Łeb ten dwóch par nie wart...—rzekł bej.

— Znaleźliśmy przy nim dwadzieścia siedem ghu-
rusz...—odrzekł Czerkies.

— Uhm...—mruknął bej i uśmiechnął się.

— I ot co...—dodał Czerkies ten sam, z zanadruza wyjmując i bejowi wręczając we czworo złożony druk.

Aristarchi-bej, okiem na druk rzuciwszy, Czerkiesów zapytał:

— Znaleźliście to przy nim?

— Przy nim...

— Hajd!...—krzyknął bej na zaptich—skoczcie po owczarka i przyprowadźcie go natychmiast!...

Zaptije do drzwi się rzucili, a Aristarchi-bej, druk dragomanom podając, rzekł:

— Proklamacya, wzywająca do zawiązywania band, „czetami“ zwanych. Jak widzicie, panowie, proces się wikła i wyjaśnia zarazem... Mamy w rękach agenta rządu tajemnego.

— Effendim...—odezwał się hadzi Christo.

— A!... — odparł bej. — Do domu ci spieszno... Przytrzymałem cię dlatego, ażebyś był świadkiem, jako przy dochodzeniu nie uciekamy się do gwałtów żadnych... Doświadczyłeś tego na sobie, mimo że cię pozory obwiniają. Odejdźże już z Bogiem...

Reprezentanci mocarstw obcych głowami z uznaniem kiwali i na sprowadzenie agenta czekali.

Czekali, czekali i doczekali się powrotu zaptija jednego, drugiego, trzeciego, czwartego, ale bez agenta. Każdy zaraportował jedno i toż samo. Widziano go, jak z konaku wyszedł.

— Wyszedł i przepadł..

Jeden z zaptich rzekł:

— Szukaj wiatru w polu.

— Ruszczuk nie pole, chłop nie wiatr...—zauważył Aristarchi-bej.

Uwaga była słuszna, wszyscy przyznali. Mnie-
many jednak agent rządu tajemnego znikł. Zaptich
kilku rozbiegło się w ulice wszystkie i nigdzie ani je-
go, ani podobnego do niego człowieka nie spotkali.
Było to dla nich czemś, cudowi równem, a przecież
nie był to cud żaden. Delikwent, wypuszczony przed-
tem, zanim Czerkiesi znaleziony przy nim druk poka-
zali, nie dowierzał odzyskanej swobodzie i korzystał
z niej jeno na to, ażeby się schować. Po miastach
tureckich schowanek jest mnóstwo. O kilkadziesiąt
od bramy konaku kroków znalazł przymurek i za
przymurkiem dziurę, w której gnieździły się psy. Za
przymurek wszedł, w dziurę wlaź i widział wybiega-
jących z bramy zaptich. Wybiegli, oglądali się i wy-
krzykiwali:

— Którędy *dżanabet* poszedł?

Gdyby był który za przymurek zajrzał, byłby
go zoczył. Zamiast tego pędem się rozbiegli, on prze-
to na powrót ich czekał, doczekał się i wówczas dopie-
ro z dziury wylaź i najspokojniej w świetle do mia-
sta pociągnął, wybierając ulice co najruchliwsze. Na
czarszii stał sklep baby Mokry. Do sklepu zajrzał
i wszedł. Zajrzał przez ostrożność, zmiarkował, że
wejść może, więc wkroczył śmiało i udał się w głąb,
z kąda baba Mokra sprzedają dyrygowala.

— To ja, babo...—odezwał się.

— Witaj, synku...—odrzekła...

— Czerkiesi mnie pojмали i przyprowadzili...

Umknąłem im...

— Chwała Bogu... Ukradłeś Turkom głowę
twoją... Za kradzież tę Bóg cię nie pokarze... Wiesz

przytem: złodziejem jest nie ten, co kradnie, ale ten, co chować nie umie.

— To też mnie o to chodzi, ażeby głowę moją uchować...

— Słyszałeś, co się tu dzieje?...

— Trochę... Wiem jeno o hiliadzie ghurusz za głowę Stojana, który, babo, Turczyzna jednego udusił, drugiego z rewolwera zastrzelił...

Wyrazy ostatnie wymawiał z akcentem uniesienia i dodał z żalem:

— Ja bom żadnego ani udusił, ani zastrzelił...

— Uhm... — mruknęła baba.—Jednemu się trafia tak, drugiemu owak... Mniejsza jednak o to... Rzecz w tem, że ciebie schować potrzeba...

— Czyż jest na mnie „przyczyna“ jaka?

— Jest ta, że Turcy przewracają miasto nogami do góry i więżą tych i owych... Gdyby pojmali ciebie i dowiedzieli się, żeś się przez miesiące kilka gdzieś podziewał, nie wykręciłbyś się od Akry przy najmniej... Potrzeba, żebyś im z oczu zeszedł; powrócisz później.

— Zejść mi łatwo, bylebym się do studni dostał...

— Piotra niema... Powróci za dni parę dopiero...

— O... Cóż ja przez tych dni parę ze sobą zrobię?...—zapytał chłopak.

— Najprzód, położysz się tam za workami. Ja, na południe odchodząc, sklep zamknę, za godzinkę powrócę i ciebie wyprowadzę.

Że południowa pora nadchodziła, wnet przeto tak się stało, jak baba Mokra radziła. Baba odeszła i prędzej aniżeli za godzinkę powróciła. Przyniosła ze sobą pakiet, pakiet ów za worki rzuciła i rzekła:

— Zrzuc swoje *driachu*, w to się przebierz i do domu idź.

W pakiecie znalazł chłopak całkowitą odzież niewieścią. Dziwnem mu się to trochę wydało, nie wahał się jednak, przebrał się i z po za worków wysunął się przeistoczony. Baba Mokra jaszmak mu na głowie uwiązała i upięła tak, że znikł pod nim zawiązający się na wardze wierzchniej zarost i:

— Idź... — rzekła.

Na ulicy niktyby się ani domyślił, że pod przeodziewkiem niewieścim kroczy ten sam, co dnia tego rano prowadzony był przez Czerkiesów na smyczy, jak pies. Niezaczepiony przez nikogo, przeszedł ulicę jedną, drugą, trzecią, skręcił na mahalę bułgarską i wszedł do domu baby Mokry. Na progu spotkała go Anka.

— Chodź... — rzekła.

Na piętrze zwróciła się do niego i półgłosem mu w ucho kładła:

— Zostawię ciebie w musafirlyku samego i postaram się wyprosić co rychlej Ilenkę, która przed chwilą przysła.

— Ilenkę od hadzi Christa?...—zapytał.

— Od hadzi Christa.

— A cóż mi ona?... Nie wyda przecie...

— Jak myślisz?...

— Mnie ona nie zawadza... przeciwnie... Prowadź mnie, gdzie ona, ciekawym, czy mnie pozna...

Anka poszła przodem i w chwilę później wprowadziła młodego człowieka do izby swojej.

Ilenka na sofie siedziała. Wejście kobiety nieznamomej nie zdziwiło jej, ale jej przyjemności nie sprawiło, miała bowiem przed Anką do żalenia się i uskarżania z powodu powrotu ojca z apsu, powrotu, dokonanego w warunkach, które ją bolały. Nierada więc była obecności obcej jakiejś kobiety, w kąt się usunęła i nasepila się. Mniemana kobieta opodał nieco na sofie miejsce zajęła. W pierwszych chwilach żadne z trojga głosu nie zabierało; w izbie panowało milczenie; wreszcie, usta zagryzając, odezwała się Anka:

— Dokończyłaś już, Ilenko, chustki haftować?...—zapytała.

— Zaczęłam dopiero... — odrzekła sucho.

— Ja zaczęłam *perdele*.

— Do których okien?

— Do musafirłyku.

— I jam o perdelach myślała, ale...

— A jam myślała o pantoflach...—odezwała się kobieta mniemana.

Głos, którym przemówiła, Ilenkę uderzył. Coś nią niby wstrząsnęło. Podniosła na siedzącą kobietę oczy i utkwiała w niej wzrok, który stopniowo przybierać zaczął wyraz zdziwienia, z przestraczeniem połączonego. Wyraz podobny przybierają oczy ludzkie na widok widma. Ilenka brwi zlekka sfalutowała, na gładkiem jej czole zaznaczyły się zmarszczki,

wreszcie wejrzenie przeniosła na Ankę, która głowę odwróciła i chustką sobie usta zatykała; widocznem było, że śmiech w sobie tłumila. W oczach Ilenki zarysował się wówczas znak zapytania, który zolbrzymiał nagle, gdy pod jaszlakiem u nieznajomej dostrzegła na wardze wierzchniej zarost.

— A jam myślała...—zaczęła nieznajoma.

— Ach!... — krzyknęła Ilenka i ruchem mimowolnym naprzód się podała.

— Jam... — przemówiła.

— Ty... ty...—przerwała Ilenka—ty... Nikola!...

Nikola jaszmak z ust zsunął i jął go z głowy zrywać. Lecz mu Ilenka czasu na zerwanie całkowite nie dała. Za ręce go pochwyciła i w oczy mu patrzyła. Patrzyła, uśmiechem opromieniona cała, a łzy jej po policzkach płynęły.

— Ty... ty...—powtarzała.

— Jam myślał o tobie...

— A ja o tobie... nie!...—odparła. Ah!... ah!... Jakżeś ty, Nikola, dobrze zrobił, żeś teraz przyszedł!...

Wyraz „teraz“ wymówiła z przyciskiem.

— Tak mi ciężko... tak mi ciężko... oh!...—skarżyła się.

Snać ją okrywająca Nikołą odzież ośmielała, przysunęła się bowiem do niego i rękę mu swoją dała i wprawiła go swoim uśmiechem, swojemi łzami, swoim smutkiem w ten stan zachwyty, w którym młodzieniec chciałby nie rozmawiać, tylko „patrzeć, patrzeć, patrzeć“ — „całować, całować, całować.“ Nikola nie znał przyczyny uniesienia jej, brał więc je na rachunek swój, doznawał przeto przepełnienia uczu-

ciem wdzięczności, skutkiem której gotówby był dla dziewczyny tej, co się przed nim wynurzała, spalić się. I płonął. Widzieć to się dawało na oczach i na obliczu jego. Trzymał za rękę Ilenkę, patrzył na nią i milczał, a milczał dlatego, że nie umiał wyrazić mi wypowiedzieć uczucia, jakiego w chwili tej doznawał. Zresztą uczucia tego nie znał. Ilenka przedtem bardzo mu się podobała, bardziej aniżeli wszystkie, jakie kiedy w życiu swoim widywał dziewczęta, podobała mu się jednak jak przedmiot piękny, zachwycający, pożądany, tak atoli oddalony, iż się zbliżyć do niego sposobu niema i myśleć nawet o tem niewolno, chyba tak, jak nad Dunajem myślał, kiedy to na łabędzie patrzył i w łabędzia zmienić się zapragnął.

Ilenka, córka hadzi Christa, bogaczka, wydawała mu się istotą, dla niego nieprzystępną. I oto istota ta pogarnęła się do niego, płacze, żali się przed nim. Nagle w głowie strzeliła mu myśl:

— Czegóż się ona żali, kiedym ja tu?...

I wnet myśl tę wypowiedział:

— Nie żal się... Jestem przecież... przyszedłem... Bogu dzięki, umknąłem Czerkiesom, co mnie na sznurku przyprowadzili... Przyprowadzili mnie na mizlisz, na którym hadzi Christa widziałem...

— Widziałeś?...—zapytała tonem przerażenia.

— Widziałem... siedział na sofie obok Aristarchi-beja...

— Widział... on... ojciec mój, ciebie?...

— Widział, ale nie poznał...

— Ah!... — odetchnęła z głębi piersi.—Nie poznał, tak, jak jam nie poznała ciebie... Biada ci jed-

nak, gdyby cię poznał... Uchodź-że, o! uchodź... Nie pozostawaj tu chwilki jednej. Wynos się do Rumunii... Poczekaj jeno, ja do domu pójdę i przyniosę ci wszystkie moje dukacze, brylanty, perły, ażebyś w krainie obcej niedostatku nie zaznał... Poczekaj trochę... wnet powrócę...

Mówiąc to, rękę swoją z dłoni Nikoły umknęła i wstała.

W chwili tej wtrąciła się Anka, która była niemym spotkania lgnącej do siebie pary światkiem. Widziała i istotę stosunku podobnego odczuwała. Serce tej młodej, Bogu zamierzającej zaślubić się dziewczyny, napełniło się rozrzewnieniem, zaprawionem radością. Patrzyła i, o sobie nie myśląc, dumiała, a kiedy Ilenka wstała:

— Nie odchodź jeszcze... — głosem proszącym rzekła.

— Wnet powrócę...—odrzekła Ilenka.

— Nie odchodź...

— Czemu?

— No... tak...

Nie umiała wypowiedzieć racyi, która na tem polegała, iż żal jej było tego, jaki przed oczyma miała, widoku. Chciałaby na tę parę patrzeć i jeszcze patrzeć.

— Jegoż jaknajprędzej do Rumunii wyprawić potrzeba...—odezwała się Ilenka, oczami na Nikołę wskazując.

— Dziś, jutro nadjedzie Piotr... Piotr i jego i... tamtego... wyprawi...

— A nim Piotr nadjedzie?...

— Nie troszcz się... Gdzie się przechowuje tamten, tam się przechowaj i Nikola.

— Jaki tamten?...—zapytał Nikola.

— Stojan...

— Stojan?...—zawołał.

— Sss... — odezwała się Anka, palec na ustach kładąc.

Przypomniała sobie, o czem zapomniała była, o potrzebie mienia się na baczności wobec sług i jak najrychlejszego wprowadzenia Nikoły do kryjówki. Podeszła do drzwi, wyjrzała, ogłędnęła się, posłuchała, powróciła i drzwi od szafy otworzyła.

— Ilenko... — rzekła, palec podnosząc z akcentem ostrzeżenia—nikomu ani słówka...

— Anko...—odrzekła Ilenka tonem wymówki. Wiesz przecież... Baba Mokra świadkiem była... Byłem wiedziała, że on bezpieczny będzie...

— W komórceby bezpieczny być nie miał?

— Ojciec!...—szepnęła.

— Co?...—zapytała Anka.

— Ojciec mój o komórkach wie...

— Cóż ztąd?... Czyżby wskazał?...

— O Boże!... — zawołała dziewczyna głosem, rozpaczą telnącym. — Ojciec rodzony!... Ha, dziej się wola Boża... Nie!... — rzekła po chwili z mocą—ojciec nie wskaże... nie wyda...

— Nie wie przecież...—wtrąciła Anka.

— Choćby wiedział i widział, nie wyda!...

VIII.

Ukrycie Nikoły odbyło się pomyślnie. Zachodziło niebezpieczeństwo niespodzianego zejścia się jego ze Stojanem. Zejście się niespodziane spowodować mogło wykrzyki i rozmowę głośną, która, przez domowników usłyszana, zdradziłaby czyjaś w komórcie obecność. Ludzie są ciekawi, a języki ludzkie hamulca nie znają. Ze strony tej przeto zagrażało niebezpieczeństwo, które ostrzeżona przez babę Mokrą Anka z góry odwróciła, uprzedzając Stojana, że Nikola za towarzysza mu będzie. Stojana wiadomość ta ucieszyła i zmartwiła: ucieszyła z powodu, że się Nikola uratował, zmartwiła dlatego, że osoba jego stanie pomiędzy nim a Anką, której towarzystwo podobало mu się tak dalece, iż oczekiwanie na ukazanie się jej w otworze, przez który jadło podawała, skracalo mu godziny osamotnienia i sprawiało to, że w więzieniu tem było mu wcale dobrze. Rady jednak na to nie było. Ściana się podniosła i Nikola w odzieży niewieściej, z zerwanym z głowy jaszmaikiem, do komórki wszedł; ściana się za nim zamknęła. W chwili tej Stojan o Ance zapomniał, towarzyszowi dłoń uściśnął i rzekł do niego:

— Dobro doszeł. Tak samo w feredzii i jaszmaiku przekradałem się i ja. Tylko o!... — dodał, pod fe-

redzie zaglądając — jam nie miał na sobie szalwarów, papuczi i pantofli. Ubrałeś się jak prawdziwa *żena*.

— I szedłem tak przez miasto całe... — odrzekł. Nikola.

— Jam zaś przez ogród jeno... od malin do kuti.

Z punktu tego wywiązała się rozmowa długa i ciekawa. Stojan Nikole, Nikola Stojanowi opowiadał o przejściach i wypadkach wędrowni, jaką jeden odbył w kierunku Widdynu, drugi w kierunku Waryny. Były to sprawozdania z czynności, mającej na celu obudzenie narodu ze snu letargicznego, trwającego pięć wieków. Śród snu tego młodzi ludzie powiadali narodowi o „czetach“, o orężu, o swobodzie. Naród słuchał, potakiwał, tu i owdzie umysły wrażliwsze podchwytywały słowa i przyswajały sobie idee, tu i owdzie zawiązywała się organizacya narodowa ogólne atoli usposobienie ilustrował wypadek, który się przytrafił Stojanowi w chacie Grożdana. Stojan opowiedział wypadek ten szczegółowo.

— Jakże wedle tego sądzić?... — zapytał z westchnieniem.—Grożdani mnie wysłuchał, zrozumiał i.. żonę na pohańbienie wydał. Czy nie rzucamy my ziaren na kamienie?

— Udusiłeś jednak hańbiciela.

— Udusić go był powinien Grożdani. Dopóki: Groždany nie poczują hańby panowania tureckiego, póty się niema czego spodziewać.

Westchnął.

— Czyż ją poczują, jeżeli im nikt o niej mówić nie będzie? — odparł Nikola. — A kto mówić ma? co? Mamyż się cofnąć?

— Cofnąć się... nie. Zaprzęgliśmy się do taczki i już nam jej rzucać nie godzi się. Pchać ją winiśmy do końca. Zrozumiałem obowiązek nasz najlepiej, kiedy milazimowi kolanami pierś ugniatał i rękami mu gardło uciskał. Charczenie jego brzmiało mi w uszach, niby tryumf Bulgaryi. Zapomniałem o sobie, o wszystkim.

— Mnie... — westchnął Nikola, — nie podobnego się nie przytrafiło. Obszedłem Dobrudżę; byłem w Tulczy, w Babadagu, w Warnie, w Szumli, chodziłem po wsiach i po kiszlach: nikt mnie nie zaczepił; dopiero, kiedy już wracał, przyczepili się do mnie Czerkiesi, zabrali mi pariczki i proklamacyę ostatnią i na postronku, jak psa, poprowadzili na mizlisz, na którym obok Aristarchi-beja zasiadał hadzi Christo.

— Hadzi Christo na mizliszu?... — zapytał Stojan tonem zdziwienia.

— Dziwi to ciebie?

— On w apsie był.

— Za co?

— Za to, że mnie nie wydał.

— Na tyle odwagi zdobył się przecie.

— Byłby wydał, gdyby nie Ilenka.

— Ilenka, a no... o!... Ilenka... — wywoływał Nikola, przez dziewczynę oczarowany. — Co to za dziewczyna! Oto wiesz, co: gdyby Ilenka taka do wsi przyszła i w czetę się zbierać sielakom kazala, nie wiem, czyby się znalazł jeden, coby jej nie posłuchał.

— Té... — cmoknął Stojan z akcentem powątpiewania.

--- Podług siebie miarkuję. Jam sielak przecie
— Oskrobany. Ba, gdyby się, jak ty oskrobał
każdy!

Takie i tym podobne toczyły się w komórcie rozmowy, przerywane przez Ankę, która przynosiła jałło i wiadomości. Dzięki jej, dowiedział się Stojan, jak się to stało, że hadzi Christo obok Aristarchi-beja w komisji śledczej, nie na mizliszu, jak Nikoła mylnie podawał, zasiadał.

— Był oskarżonym i siedział w apsie; teraz jest świadkiem i siedzi w komisji. Wydał schadzkę waszą w ogrodzie.

— Schadzkę w ogrodzie? jaką?... -- przerwał Nikoła.

— Tę chyba, na której czaszkę z tatły stłukłeś...—zauważył Stojan i zapytał Anki: i cóż dalej?

— Wygadał się o schadzce u ciebie w izbie.

— Ah...—zawołał Stojan.

— Ale nie wie, kto był... — dokończyła dziewczyna.

— Ha! Dowie się koniec końcem i, jeżeli wyda, bieda będzie wielka.

— Nie wyda...—odparł Nikoła.

— Zkądże ty wiesz?

— Ilenka mówiła.

— Niby to od niej zależy.

Od niej — podchwyciła Anka—ona bowiem tylko zna nazwiska tych, co do schadzki należeli. Był już oto w domu hadzi Christa kałabałyk wielki. Hadzi Christica biła ją, za włosy po podłodze ciągała.

— Niegodziwa!...—zawołał Nikoła. — Niegodziwa!... — powtórzył z przyciskiem i do Stojana mowę zwracając, dodał: Widzisz, ażeby się z hańbą spotkać, niekoniecznie iść potrzeba do chaty Grozdana. Hadzi Christo oskrobany jest lepiej jeszcze, aniżeli ja. Gdyby nie Ilenka!... Czy ja z Ilenką widzieć się nie mógłbym?...—zapytał Anki.

— Nie dziś chyba. Ona przyjść obiecała i przyjdzie; dziś jednak późno już.

— Chciałbym jej jedno słówko tylko powiedzieć.

— Przyjdzie ona.

— Ale...—zaczął Nikoła, z rękami podniesionymi stając i na siebie się patrząc, czybym nie mógł odziać się inaczej?

Wciąż jeszcze pozostawał w odzieży niewieściej, nie mając do zmienienia innej.

— W dugianie rzuciłem driachy sielackie. Gdybym je dostać mógł!

— Niech jeno majka nadejdzie... — odparła dziewczyna.

Baba Mokra nadeszła niebawem. Odzieży wieśniaczkiej nie przyniosła, ale mu z garderoby Piotra udzieliła potrzebnych do przebrania się rzeczy. Przyszła, rozmawiała, żartowała i podzieliła się z młodymi wiadomościami z konaku, wedle których miarkować było można, jak stoi sprawa czyja. Stojana obchodził ojciec.

— Nic mu się złego nie stanie...—rzekła. — Mehandzi dobrze się trzyma: nie wiedział i nie wie o niczem; świadków wiarogodnych, bo Turków ma; chwa-

li się wierną padyszachowi służbą przez to, że od lat czterdziestu kawę gotuje. Żle stoją sprawy...

Wymieniła nazwiska kilku ludzi, na których winy zgoła nie było, ale którzy się w odpowiedziach poplątali i win na siebie nabiczowali co niemiara. Śród tych ludzi znaleźli się spiskowcy, co się maskowali, pomimo, że do spisku żadnego nigdy w życiu nie należeli. Pytania wyśrubowały ich na zbrodniarzy, zagrożonych karą surową. Najbardziej jednak zagrożonych było dwóch: Stanko i Groźdan, obaj w sprawie, bezpośrednio z osobą Stojana związanej.

Stojana to niepokoiło i gryzło.

— Powinienem na miejscu Stanka stanąć.

— Zrobiłbyś głupstwo...—baba na to.—Stanka-bys nie uratował, siebie zgubił. Niech on stoi na miejscu swoim, ty stój na swoim. Kiedy synowie moi ginęli, ani mi do głowy przyszło, że to nie ich miejsce. Każdy ma miejsce swoje. Co innego, gdyby cię byli Turcy pojмали; że jednak nie pojмали, zachowaj się na to, ażeby popamiętali ciebie. Wziąłeś na duszę nie grzech, ale obowiązek nowy, o!.. Rozumiesz?

Słowa baby Mokry miały za sobą poparcie dwóch nieboszczyków, z których jednego głowa na żerdce przytomną była pamięci każdego z mieszkańców Ruszczuku, drugiego zaś pogrzeb odbył się tak niedawno! Z tego powodu, zwłaszcza u ludzi młodych, miały one powagę wielką. Co baba rzekła, to na równi z prawdą ewangeliczną szło. Stojan przeto los swój znoślił z sumieniem uspokojonem, chociaż szczególniej mu żal było Stanka i dzieci jego.

— A może też — powiedział — Pan Bóg da, że obronną wyjdzie ręką.

— Trudno...—odrzekła baba.

— Czemu?

— Gada.

— Jakto... gada?

— Prawi Turkom w oczy prawdę.

— Onże był zawsze taki milczący!

— Milczał, póki gadać nie trzeba było, ale teraz gada, a tak słyszę spokojnie, jakby w kawenie rozmawiał.

— Zkądże, babo, o tem wiesz?

— Od świadków i od zaptich, którzy do mnie do dugiany przychodzą; ja im mastyki daję, a oni rozpowiadają.

Stojan westchnął. Nikola się odezwał.

— Gdybym na miejscu Stanka był, o! tożbym Turkom nagadał!

Stojan i Nikola razem spędzili noc i w nocy, po drabinie się spuściwszy, używali w ogrodzie powietrza świeżego. Nikola się studni przypatrywał.

— Czemu się przypatrujesz... — zapytał go Stojan.

— Patrzę, czy wszystko w porządku.

— Albo co?

— Uhm...—odpowiedział—nie chcąc zdradzać tajemnicy bez upoważnienia Piotra i, dla odwrócenia zapewne uwagi Stojana, o Ilence zagadnął:

— Ta momica mi w myśli ciągle stoi.

— Podobała się tobie.

— A!...—odparł z przyciskiem. Jaby dla niej... jaby za nią... ha! Nie wiem, co tak mnie do niej ciągnie, że poszedłbym za nią na kra... ata.

— Onaby mogła być moją... — w sensie uwagi rzucił Stojan.

— No?...—zapytał tonem zaniepokojenia Nikola.

— Pomiedzy nią a mną stanęła Bulgarya.

— Tyś się jej dla Bulgaryi rzekł?

— Nie to... Jam się jej nie zrzekał i ona się mnie nie zrzekała, ale odepchnęli mnie hadzi Christo i hadzi Christica dlatego, że od esnafu odstąpił i z komitetem się związał.

— Jaby się odepchnąć nie dał!...—odezwał się. Nikola z naciskiem wyrazistym.

— Cóżbyś zrobił?

— Co?... uhm!... Czyż to się ludzie bez pozwolenia rodziców nie żenią?... Jaby... jaby...

Powiedzieć chciał: „Jaby na miejscu twojem poradził sobie“; lecz wolałby sam na miejscu Stojana się znajdować i dla siebie radzić. Wyrazy przeto w gardle mu grzęzły; kłopot miał z niemi; z kłopotu jednak Stojan go wyprowadził.

— Ii... — rzekł. — Ilenka się odemnie trzymała zdaleka.

— Nie chciała ciebie?... — podchwycił Nikola.

— Nie wiem... poznać mi tego nie dawała... A!...—ręką machnął.

— Tobys się chyba ze mną o nią nie bił.

— Kto wie... — odpowiedział Stojan, nie chcąc znać towarzysza czynić uczuć swoich powiernikiem

Noc usposabiała do zwierzeń tego rodzaju, mimo że bezksiężycową była. Za to się niebo gwiazdami osypało, a gwiazdy posiadają własność wywierania wpływu na zakochanych. Zakochanymi byli młodzieńcy obaj, a różnica, jaka w zakochaniu ich zachodziła, na tem polegała, że jeden nie umiał z uczucia, jakie nim opanowało, sprawy zdawać, mimo iżby ją zdawać chciał, drugi umiał, lecz mileżał. Chodzili, rozmawiali, naraz obaj stanęli i słuchy nadstawili. O uszy ich obito się mocne kołatanie, pochodzące, jak się zdawało, od bramy baby Mokry.

— Co to?...—zapytali obaj razem.

Przysłuchiwali się i po chwili ukazała się w ogrodzie w bieli postać, która się przesunęła, niby cień, i kiedy mimo nich przebiegała, rzuciła wyraz:

— Zaptije!

Rzuciła wyraz ten i wróciła.

— Anka...—szepnął Stojan.

— Chodź...—rzekł Nikoła. — Zobaczysz dla czego się studni przypatrywał.

Gdy do studni doszli, Nikoła się odezwał:

— Uważajże dobrze... zrobisz to, co ja zrobię..
Patrz...

Rzekłszy to, do wiadra wszedł i po łańcuchu spuszczać się począł, mówiąc:

— Zawołam, kiedy do wiadra wsiadać masz i będę w głębi na ciebie czekał.

Znikł; Stojan się nad studnią nachylił; po chwili jedno z wiader wyszło i z głębi słyszeć się dało wołanie

— Siadaj, a mocno łańcuch trzymaj!..

Stojana, gdy patrzył w otchłań ciemną, strach przejmował. Nie było jednak żadnej dobrej racyi nie uczynić tego, co uczynił Nikoła. Na odwagę przeto wzięwszy, do wiadra wszedł; zimno go przejęło; spuszczać się jął, przekładając kolejno jedną pod drugą rękę, któremi łańcuch mocno trzymał. Z głębi odzywał się głos Nikoły:

— Śmiało!... powoli!... łańcucha się mocno trzymaj!

Wiadro schodziło w dół coraz to głębiej i głębiej i nagle w bok silnie pociągniętem zostało. Stojan poczuł na sobie rękę Nikoły.

— Wyłaź!... — rzekł ten ostatni.

Młodzieniec znalazł się w ciemności zupełnej i usłyszał wyrazy:

— Teraz niech szukają nas zaptije Turcyi całej... Zapalki masz?

— Nie mam—odpowiedział.

— Pójdziemy więc po omacku... Chodź.

Poszli jeden za drugim, dostali się do niszy, w której usiąść można było, posiadali i Nikoła się odezwał:

— Zkądże to na babę Mokrą spadło?

Na babę Mokrą byłoby to nie spadło, gdyby nie hadzi Christo. Wieczorem zaszedł do niego Aristarchi-bej celem zapowiedzianej rewizyi. Rewizyę zrobił, dawne Stojana mieszkanie ściśle przetrząsnął, nic nie znalazł i w musafirlyku w charakterze gościa zasiadł. Hadzi Christowstwo wysadzali się na przyjęcie gościa takiego. W towarzystwie jego znajdował się gruby aga i urzędnik z konaku. Zaptije na po-

dwórze czekali. Ci ostatni raczyli się mastyką; w musafirlyku zaś podawano likiery, konfitury, owoce, ciasta, słowem przysmaki, na które Turcy są łakomi. Czas upływał, rozmowa się toczyła i, dotknąwszy przedmiotów rozmaitych, zeszła w końcu na materję, będącą na porządku dziennym.

.

Hadzi Christo rzekł:

— Wiedzieć... o niczem nie wiem, ale...

— Ale... co?

— Mógłbym coś powiedzieć, gdyby...

— A no... — odparł bej, który z gestu się domyślił, że hadzi Christowi o tajemnicę chodzi. To, co mi w ucho włożysz, wpadnie jak w studnię.

— Mam ja córkę — westchnął, — i córka moja na nieszczęście w Stojanie się zadurzyła... Nie będzie z tego nic, bo gdzieżbym ja dżanabetowi, czapkinowi takiemu dziecko dawał... Ale ona, która dawniej do baby Mokry raz na trzy miesiące najwyżej chodziła, teraz biega do niej po trzy razy na dzień.

— Pytałeś jej, po co?

— Pytałem ja, pytała żona moja, ale... wiesz effendim, że w razach takich...

— Tak... o!... wiem... Dziewczynaby się w kawalki porąbać dała...

— A no...

— Hm?... — mruknął bej, zamyślił się i rzekł: To skazówka ważna... Tylko że w domach waszych kryjówki są, których wynaleźć niesposób.

— Niema już kryjówek takich, jak dawniej bywały...

— Zawsze jednak...

— No, są... U baby Mokry jest jedna, taka sama, jak u mnie...

— Pokażże mi swoją.

— Chodź, effendim.

Hadzi Christo, przyświecając, poprowadził Aristarchi-beja do izby, obok której istniała taka sama, jak obok izby Anki, komórka. Pokazał tajemnicę odmykania ściany i otwierania podłogi. Oświadczył beja we wszystkim, nie wyłączając przejść krytych, wyprowadzających z komórki na podwórze i do ogrodu. Ilenka oprowadzanie to z izby przyległej widziała. Nie rozumiała, co ono znaczy, przypuszczała więc, że jest to ciąg dalszy rewizyi i byłaby spokojną, gdyby się jej o słuch nie obilo imię baby Mokry. Wymówienie imienia tego zaniepokoiło ją. Opanowała ją obawa, która wzrastała, potęgowała się i doprowadzała do stanu rozdrażnienia, tem silniejszego, że wobec niebezpieczeństwa, jakie w przypuszczeniu jej zagrażało młodym ludziom, czuła się bezwładną. Zapobiedz onemu nie mogła. Pocieszało ją jeno to, że przypuszczenie jej jest mylnem może, że się przesłyszała, że wreszcie Bóg odwróci nieszczęście, jeżeli jakie zagraża. Do Boga się też zwróciła i noc całą na modlitwie spędziła.

Tymczasem zaś Aristarchi-bej, do musafirlyku powróciwszy, z agą pomówił i we dwóch plan rewizyi u baby Mokry ułożyli. Aga posłał po zaptich z nakazem otoczenia domu i ogrodu baby Mokry, w sposób

taki, żeby mysz się wymknąć nie mogła. Wypito jeszcze po kieliszeczku chartreuse'y, zjedzono jeszcze kilka rodzenków, po kilka ziarenek granatu, po kilka migdałów i wyruszono z wyprawą. Dom był już otoczony. Dokoła gęsto stały szyldwachy. Aga do bramy kołatać kazał, nie uważając na hałas, był bowiem ufny, że, jeżeli co do złapania jest, złapie.

Skoro rozległo się najpierwsze o bramę stuknięcie, w chwili tej baba Mokra Ankę zbudziła i tak do nie przemówiła:

— Zrywaj się i powiedz Stojanowi i Nikole: „zaptije“!...

Anka w koszuli jeno z pościeli wyskoczyła; w komórce nie zastała nikogo, drabinę spuściła, do ogrodu ruszyła, wyraz przez matkę nakazany rzuciła i tą samą drogą powracając, w komórce ślady obecności czyjejkolwiek zniszczyła. Ślady owe polegały całkowicie na jastuku. Jastuk zwinęła, ścianę spuściła, drzwi od szafy zamknęła i w pościel wlaźła. Z pościeli słyszała stąpanie ciężkie zaptich, rozchodzących się po podwórzu i zmiarkowała, że chód paru z nich skierował się pod otwór, z którego spuszczała się drabina. Dziewczynę strach zimny przejął.

Chód słyszeć się dał wewnątrz domu, a chodowi towarzyszyła rozmowa. Głos jakiś obcy mówił:

— Dostaliśmy babo donos... fałszywy zapewne... Nie bierz za złe, że przepatrzymy dom twój, ażeby donosiciela zawstydzić.

— Ciekawam, kto na mnie donos mógł zrobić...
—odpowiedział głos baby.

— Tego ci powiedzieć nie mogę. Rewizję jednak zrobić muszę.

— Rób, effendim, ja ci dopomogę sama.

Chód się coraz to zbliżał i słyszeć się dał w izbie przyległej.

— Dokąd to effendim...—odezwał się głos baby.

— Tam, odrzekł głos męski.

— Tam śpi córka moja... dziewczyna młoda...

— Niech się osłoni.

— Anka... bre!...—krzyknęła baba z proga.

— Majko!...—odkrzyknęła głosem trwogi dziewczyna.

— Ludzie idą, osłoń się!

Do izby weszli: Aristarchi-bej, aga, zaptich kilku; każdy w rękę trzymał latarnię zapaloną; aga zaptim wskazał palcem drzwi od szafy, prowadzące do podnoszącej się ściany. Babę na widok ten opanowało zdziwienie, które dłużej nad mgnienie oka nie trwało. Gdy jeden z zaptich drzwi od szafy otwierał, baba do Aristarchi-beja mówiła:

— Chciałam ci właśnie komórkę tę wskazać...

— Uhm...—mruknął bej.

Zaptije ścianę podnieśli, komórkę zwiedzili i z niczem wrócili.

— Nic?—zapytał bej.

— Nic...—była odpowiedź.

— Odzież?...

— Feredzia, jaszmak, szalwary, papuczi i pantofle.

Były to te właśnie części odzieży, w których przez ogród Stojan, a przez miasto Nikoła się przemyskał.

— Tytuń, kapciuch, ogarki papierosów?... — pytał Aristarchi-bej.

— Ani śladu...—odpowiedział zapti.

— Wynoście się ztąd i przeglądajcie dalej — rzucił bej zaptim—sam zaś udał się do musafirlyku i na sofie zasiadł.

Obok beja miejsce zajął aga i urzędnik od pióra. Spojrzeli po sobie i ramionami ścisnęli.

— Zobaczymy, czy z podwórzy lub z ogrodu czego nie przyprowadzą—odezwał się aga — tymczasem zaś dobrzeby było, gdyby co przyniesiono.

Posiedzenie to odbywało się przy blasku postawionych na podłodze paru latarni.

Po chwili baba Mokra weszła, niosąc na tacy duże w lichtarzach srebrnych świece stearynowe, butelkę, kieliszki i ciasta na przekąskę.

— *Maszalla*... — odezwał się aga z akcentem zadowolenia.

Baba, postawiwszy tacę na stole pomiędzy bejem a agą:

— Wybaczcie—rzekła, effendiowie.—Zeszliście mnie po nocy, chwyciłam więc co pod rękę się nawinęło, ażeby was uczcić i radość moją z oglądania was okazać. Jedźcie i pijcie zdrowi.

— Spodziewam się, że nam najścia za złe nie weźmiesz...—przemówił bej.

— Ale... zkądże!...—odparła.

— I nie pobiegniesz do paszy z językiem, skarżąc się, żeśmy ci sen przerwali.

— Niech mnie Pan Bóg broni!

— Nie u ciebie tylko rewizyę robimy. Teraz

czasy takie—westchnął — a donosy fałszywe gradem się sypią. Gdyby Bulgarya miała tylu żołnierzy, co donosicieli, z nią padyszachowi byłby kłopot. Przychodzimy—dodał—od hadzi Christa.

— Mielście go przecie w apsie... — zauważyła baba.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Baba Mokra pilnie Aristarchi-bejowi w oczy spojrzała i, przybierając minę gospodyni uprzejmej, zwróciła uwagę jego na butelkę i pierniki.

— Proszę... raczcie się... cześć mi zróbcie.

Rzekłszy to, cofnęła się, pozostawiając dygnitarzów samych. Wyszła przeze drzwi, w izbie przyległej wzdłuż ściany się przesunęła i, drzwi od jednej z szaf otworzywszy, stanęła w postaci podsłuchującej.

W jej nieobecności Aristarchi-bej wziął do ręki butelkę i przeczytał głośno na etykiecie napis: „Lacrima Christi“.

— O hadzi Christo!... — rzekł aga. Bodaj go!... przez niego napróżno zaniepokoiłszy babę.

— Nie napróżno, kiedy oto...

Butelkę do światła pokazał i w butelce odbił się pyszny bursztynowy kolor wina, wysoce przez smakoszków cenionego. Światło igrało w niem, jak przelew wody w brylancie.

— Widzisz?..—zapytał bej.

— Widzę... jakaś raki francuska.

— Nie raki, ale szarap, który się nazywa: „Łza“ Chrystusa... Napijesz się?...

— Dlatego, żeby się dowiedzieć, jakiemi Chrystus płakał łzami. Nalej, beju, skosztuj.

Aristarchi-bej nalał; aga się napił i oblizał; pił dalej, cmokał i po żołądku się gładził.

Baba Mokra pocichu z posłuchów się cofnęła.

Dostojnicy w musafirlyku wino popijali; zaptije poszukiwanie czynili. Jedno i drugie zakończyło się w czasie właściwym. Dostojnicy butelkę wysuszyli; zaptije przejrżeli wszystkie kąty, przeszukali wszystkie skrytki, przetrząsnęli ogród, zaglądali do studni i wrócili z niczem. Czynność ich trwała godzin kilka. Przeciągnęło się to za północ. Na tacy, na której w końcu stanęła próżna „Lacrimae Christi“ butelka, próżna zniknęła, a zjawiała się pełna. Baba Mokra, która zmiany tej dokonała, otrzymała na podziękowanie od Aristarchi-beja i od agi całus, przesłany jej od ręki. Mężom tym języki się plątały. Kiedy zaś jeden z dziesiętników zaptijskich przyszedł z raportem, zastał świece palące się, butelkę niedopitą, kieliszki wpółnapelnione, pierniki niedojedzone i mężów snem twardym zdjętych. Raportować nie było komu. Zapti stał, chrząkał, razy kilka wyrzekł wyraz: „effendim“, wreszcie do sofy podszedł i jeden z półnapelnionych kieliszków wypróżnił; cmoknął, wąsy sobie kułakiem obtarł i wypróżnił kieliszek drugi; odchrząknął i z kieliszkiem trzecim to samo uczynił. Zdawało się, że na tem skończy i jemu samemu tak się zdawało, albowiem zwrócił się był w celu wyjścia z musafirlyku; lecz się namyślił, do sofy przystąpił, butelkę do ręki wziął, do ust ją nachylił i dopóty ją przy ustach trzymał, póki wina do kropelki nie wycodził.

— A!... — odezwał się głosem chrypiącym nieco.

Pierniki z tacy zabrał i z piernikami dopiero za drzwi się wyniósł. Rozkaz, jaki czekającym na podwórzu zaptim wyniósł brzmiał:

— Czekajmy.

IX.

Otrzymaawszy rozkaz czekania, stróże porządku i bezpieczeństwa publicznego zgromadzili się przy bramie. Jedni pozostali na podwórzu, inni wyszli na ulicę, wszyscy posiadali. Zmęczeni i niewyspani odpoczynku potrzebowali. Turcy do odpoczywania mają ułatwienie ogromne w tem, że siadać umieją na ziemi. Ludzie zachodu do siedzenia potrzebują stołków, pieńków, kamieni. Dla ludzi wschodu ziemia służy za ławę i za łożę: gdzie stoją, tam siadają i spoczywają. W sposób ten zaptije obsiedli podwórze i ulicę wzdłuż domu, jedni pozwijali sobie papierosy, inni ponakładali fajeczki, czekali i kurzyli. Temu się powieki skleiły, zasnął; owemu się skleiły, zasnął; niebawem anioł snu rozpostarł skrzydła swoje nad drużyną zaptijską i sprawił w niej chrapanie ogólne. W musafirlyku spali wodzowie, na podwórzu i na ulicy podkomendni, a po odajach domownicy.

Nad Anką, której niepokój sen odbierał, natura górę wzięła: zasnęła również. W domu całym sama tylko baba Mokra czuwała.

Baba Mokra nietylko czuwała, ale dozorowała. Na podwórzu obeszła zaptich, w musafirlyku odstawiła świece i przypatrywała się kolejno Aristarchi-bejowi, adze i urzędnikowi. W Aristarchi-beju i adze nie spostrzegła nic osobliwszego; obok urzędnika zobczyła papier zapisany. Papier ów wzięła, oczami go przebiegła i niczego się nie dowiedziała, ponieważ czytać nie umiała. Znaną jej atoli była funkcyja protokulisty, notującego wszystko, co się przy dochodzeniach i rewizjach śledczych mówi i robi, domyśliła się przeto, że na papierze tym spisana być musi czynność, jakiej się Aristarchi-bej nocy tej oddawał. Papier więc zabrała, udała się z nim do Anki i zbudziła ją.

— Wyrozum, co tu napisane stoi...

— Nie wyrozumiem, majko... — odparła dziewczyna, papier oczami przebiegłszy.

— Pisane po turecku?

— Nie... po francusku...

— Toć po francusku Stojan umie...

— Gdzież on? — zapytała dziewczyna z niepokojem.

— Ba... gdzie on... On bezpieczny, tylko się do niego dostać trudno... spróbuje...

Baba знаła tajemnicę studni swojej, nigdy się jednak nie spuszczała. Obecnie przedstawiła się jej potrzeba nagła, papier ten bowiem zawierać mógł

wskazówki, wedle których dałoby się odwrócić niebezpieczeństwo, zagrażające temu i owemu. Zahazardowała się więc.

— Czuwajże ty tu... — do Anki rzekła — a ja odejdę i niebawem powrócę. Za chwilę świtać pocznie; Turcy śpią, jak zabici; spodziewam się, że się nie pobudzą bezemnie.

Wzięła latarkę, zapalki, butelkę raki, chleba bochenek i udała się wprost do studni, przy której zawiesiwszy latarkę, do wiadra rezolutnie weszła i w głąb się spuściła.

Stojan i Nikoła znajdowali się w ciemności takiej, w której na nic się im nie przydało oswojenie z nią oczu. Siedzieli i medytowali. Stojan pytał:

— Długo tego będzie?

Nikoła odpowiedział:

— Piotr nas ztąd wyzwoli...

Dla zabicia czasu Stojan rozpytywał się o podziemi, co ono znaczy, kto je wykopał i jakim sposobem do wiadomości o niem Nikoła przyszedł. Na rozmowie tej czas im upływał. Nikoła nie odkrywał towarzyszowi tajemnicy całkowicie, z powodu ostrożności konspiracyjnej, nakazującej nieobarczanie ludzi wiadomościami o sposobach, których używanie nie do nich należy. Dlatego nie prowadził go do otworu zewnętrznego. Odkładał to na później, spodziewając się, że Piotr, który lada dzień przyjechać miał z Konstantynopola, nieomieszka natychmiast po powrocie pomyśleć o nich. W sensie tym uspokajał Stojana i starał się promienie jasności wprowadzać do duszy

jego, uciśnionej ciemnością zupełną, jaka ich otaczała.

— *Zarar jok* (nie to nie szkodzi) — powiadał. Ciemno... no... ciemno... Będzie nam za to jaśniej na świecie bożym, gdy się nań wydostaniemy.

— Czemuśmy napowrót do komórki się nie schronili?...—zauważył Stojan.

— Mogliśmy się na drodze na zaptich natknąć...

— Ij... Gdybyśmy byli za Anką pośpieszyli..

— Stało się... Czekałmy... Może się przedzej, niż się nam wydaje, światła doczekamy...

Wyrzekłszy wyrazy te, zawołał:

— O! światło!...

Od strony studni światelko się ukazało. Stojan i Nikoła zerwali się, biegiem ruszyli i spotkali się z babą Mokrą.

— Ot ja do was... na krótko...

— Cóż tam babo?

— Zaptich kutia pełna; trzęśli noc całą, wreszcie się pospali... Oto wam: latarka, raki, chleb, ale oto papier, który przeczytajcie i wyrozumcie...

Papier podała Stojanowi, blaskiem który, oślepiony, nie od razu zdołał litery rozpoznać. Wprędce jednak wzrok oswoił i czytał, a czytając tłómaczył. Był to szkic protokularny rewizyi, dokonanej u hadźi Christa i u baby Mokry. Co do rewizyi samej, nie zawierał on ciekawego nic, z wyjątkiem notatki, tyczącej się skazówek, przez hadźi Christa danych. Brzmiała ona, jak następuje: „Wedle hadźi Christa S. K. (Stojan Kriwanow) przechowywać się może u b. M., ponieważ

córka jego, w S. (Stojanie) rozkochana, do b. (baby) M. (Mokry) po trzy razy dziennie chodzi“.

Na słowa te Nikoła z głębi piersi westchnął, baba Mokra zaś rzekła:

— Że Ilenka w tobie, Stojanie, jest rozkochana, w tem... cóż? złego niema nic... Jam ją chciała dla Piotra, ale jeżeli ona woli ciebie, Piotr sobie innej poszuka... Co jednak jest złem, to to, że hadzi Christo rzeczy takie Turkom gada... Aristarchi-bej wprost do komórki poszedł... O! to źle... Dobrze, iż się o tem wie.. No — dodała — odprowadźcież mnie, bo mi bardzo spieszo.

Nikoła latarkę wziął i przodem poszedł. Wyprawienie baby Mokry z powrotem odbyło się bez wypadku najmniejszego. Baba we wiadrze wyjechała do góry, wysiadła, przez ogród szybko przeszła i protokuł obok protokulisty na tem samem miejscu, z którego go przed godziną wzięła, położyła. Rzecz cała ze strony tej poszła gładko, nie tak jak w podziemiu, gdzie ten protokuł ustęp, który zawierał w sobie notatkę o hadzi Chrście i Ilence, wywarł na młodzieńcach wrażenie. Wrażenie to wyraziło się rozmaicie. Stojan na hadzi Christa się oburzał i dużo o nim gadał.

— Czy go kto za język ciągnął!... — powiadał. Mniejsza, póki chodziło o mnie; ale córka, córka!... wplątuje córkę nawet. Nie-go-dzi-wiec!... — zakończył z przyciskiem.

Nikoła nie mówił nic; sposepniał, usiadł, łokcie na kolanach, głowę na dłoniach oparł i w pozycji tej skamieniał niby.

Na ziemi obok latarki stała butelka, leżał

chleb. Stojan butelkę wziął, odkorkował i do Nikoły się zwrócił:

— W ręce twoje...

Napił się i podał. Nikoła po flaszkę ręki nie wyciągnął.

— Co? Wilgoć... napiłbyś się...

Nikoła odpowiedzi nie dał żadnej.

— Hm... — mruknął Stojan, odłamując chleba kawał i mieszcząc się na kamieniach w sposób taki, ażeby mu siedzieć było wygodnie.

Usiadłszy, od czasu do czasu do towarzysza się odzywał, zawsze napróżno. Dziwiło go to.

— Co ci się tostało?... — zapytał. Czyś nie chory?

Nikoła milczał i nie ruszał się. Na łokciach wsparty, zdawał się być w myślach pograżony.

— Czyś ty zasnął — rzekł Stojan. I mnie się na sen zbiera.

Niedziw. Gorzałki się sporo napił. Mieścił się przeto, kamienie pod sobą układał, z jednego gładkiego poduszkę zrobił, głowę na nim złożył, wyciągnął się i zasnął. Gdy zasnął, Nikoła głowę podniósł i do Stojana mowę zwracając, tonem żalu rzekł:

— Czemuś mi nie powiedział, że ona ciebie kocha? Do czego ta komedia ze mną!...

Wstał, z niszy wyszedł, udał się ku otworowi zewnętrznemu i tam, o maskującą otwór skałę oparłszy się, pozostał. Dzień świtać poczynął. Na wschodzie jutrzienka różowiła. Budzące się ptactwo napełniało powietrze gwarem. W mgłę porannej słychać było lot kaczek dzikich i gęganie gęsi, powracających na trzęsawiska dunajskie z wypraw nocnych na posie-

wy, w których szkody sprawiają straszliwe. U stóp połyskiwał Dunaj, za Dunajem rozlegały się, jak okiem sięgnąć, płaszczyzny zielone trzęsawisk, wśród których bieleły szeregi łabędzi i pelikanów. Nad wodą rybitwy śmigały lotem szybkim, muskały powierzchnię i niejedna z nich odlatywała z rybą w szponach. Brzegami skały, niby żołnierze na warcie, stały wyprężone czaple, a tu i tam na trzęsawiska spadały bociany. Niebawem słońce zeszło, wytoczyło się nad horyzont ogromne, wspaniałe i nadało rozwijającym się przed oczami Nikoły widokom koloryt jasny.

Co tam jednak widoki jemu! Patrzył i nie widział. W duszy wył mu żal do kolegi i przyjaciela i żalowi temu oddany, nie zważał na to, co się na ziemi, na wodzie, w powietrzu i na niebie działo. Gdyby go kto zapytał, czy słońce zeszło, odpowiedziałby: „Czy zeszło“?... Zakochani na świat inaczej, aniżeli niezakochani, poglądają. Świat ich, gdy w oczy kochanki nie patrzą, nie wychodzi na zewnątrz. Przetwarzają się oni w egoistów bezwzględnych: widzą, tylko siebie, myślą tylko o sobie.

Nikoła rozmyślał.

— Ona w nim rozkochana... Po trzy razy dziennie dla niego do baby Mokry chodziła, a baba o niej dla Piotra myślała... Cóż to ona? Jakże ona?... A ja?... Czemuż to ona tak mnie powitała? Czemuż dukacze swoje dla mnie oddać chciała?

Biednemu chłopcu z racji zapytań tych w głowie się męciło, a w sercu zapanowała rozterka, na którą złożyły się: żal, zazdrość i gniew. Z odmetu wywikłać nie umiał myśli jaśniejszej. Ilenka mu

w oczach stała i postacią swoją zakrywała wszystko tak dalece, że mu w głowie strzelały zamiary dzikie. Stojan udusił milazima: czyby on, Nikola, nie mógł udusić Stojana? Nie zdawał sobie sprawy z różnicy, jaka pomiędzy czynem Stojana a powyższem jego zapytaniem zachodziła. Obudził się w nim ów człowiek pierwotny, który się w świecie cywilizowanym przeobraził na kawalera, godzącego, pod postacią pojedynku o kobietę, na życie bliźniego, przyjaciela, brata nawet rodzonego. Czuł się ciężko, boleśnie pokrzywdzonym przez Stojana, dlatego, że w nim Ilenka jest rozkochana.

— Oh! oh!...—postękiwał, brwi marszczył i pięści zaciskał.

Słońce wytaczało się ponad horyzont coraz to wyżej i wyżej. Mgły się rozwiały, wyjaśniło się, zgiełk porankowy ustał. Godzina mogła być dziewiąta, kiedy Nikołą z zadumy obudził dochodzący słuchu jego z głębi podziemia odgłos rozmowy ludzkiej. Odwrócił się i w głąb z wyrazem zapytania w oczach patrzył. Odgłos coraz to się zbliżał. Wreszcie z ciemności wynurzyła się postać Piotra, poprzedzającego Stojana. Nikola się nie ruszył. Piotr go powitał; on mu pomrukiem na powitanie odpowiedział.

— Pociągami porannym z Warny przyjechałem—rzekł Piotr.—Przybywam, ażeby was wyzwolić z niewoli niebabilońskiej... Telegrafowałem już do Dziurdzewa. Musicie jednak dzisiejszy dzień cały w podziemiu spędzić...

— Skoro jest światło i jadło — odrzekł Stojan — to się dzień spędzi... Gdyś się tu dostał, w pierwszej chwili było mi ciężko... Ciemno, choć oczy powykalaj... Nie przypuszczałem, ażeby ciemność przykrość taką sprawiała... Póki baba Mokra nie przyszła, rady sobie dać nie mogłem...

— Dziś w nocy wyprawię was na tamtą stronę.

— Nie mnie...—odezwał się Nikola ponuro.

— Nie chcesz?

— Niech Stojan idzie, jedzie, płynie, jak mu się podoba, ja w Ruszczuku zostanę.

— Tak się tobie podobało w podziemiu? — zapytał Piotr.

— Z podziemia wyjdę...

— I co?

— I nic...

— Kłopotu nam narobisz tylko..

— Ja sobie radę dam...

— Turcy cię znajdą i wezmą.

Nikola nie odrzekł na to.

— A takbyś ze Stojanem odpłynął.

— Ja ze Stojanem nie chcę... — przerwał. Nie!... Z kimkolwiek, byle nie ze Stojanem.

— Cóż to znaczy?! — zapytał Stojan. Czym ci w czem zawinił?...

— Pomówimy o tem później, a teraz... nie odzywaj się do mnie, jeżeli nie chcesz...

Pięść mu zaciśniętą pokazał.

— Otóż i masz!...—zaczął Piotr.—Teraz, kiedy się Hercegowince z Turczyńnem biją, teraz kiedyśmy o Bułgaryi myśleć powinni, teraz, kiedy i nam do

oreża wziąć się potrzeba, ażeby się wobec świata upomnieć o prawa nasze, teraz, kiedy pomiędzy nami, co naród z uspienia budzimy, niezgody cienia być nie powinno: teraz Bulgar na Bulgara, apostoł na apostoła... pięści zaciśnięte podnosi!... A! Nikoło!... głosem oburzenia zawołał.

Nikoła, jakby się opamiętał, ręce opuścił, głowę otworzył i oczy w Piotra utkwiał.

— Nie rozumiem i domyślić się nie mogę, co się jemu stało...—odezwał się Stojan.

— Obrazić go musiałeś...rzekł Piotr.

— Czem?... Spędziliśmy ze sobą w komórcie godzin kilka, chodziliśmy po ogrodzie, spuściliśmy się do studni, pozostawaliśmy w podziemiu w zgodzie najlepszej.. Jam zasnął i spałem, pókiś ty nie nadszedł i... oto... teraz... on (na Nikołę palcem wskazał) bez przyczyny żadnej...

— Bez przy-czy-ny... — przez zęby mruknął Nikoła.

— Coś mu powiedzieć musiałeś...

— Cóżem mu takiego powiedzieć mógł!...

— Przyczyna—zaczął Nikoła—do Piotra mowę zwracając, nie w tem, co powiedział, ale w tem, czego nie powiedział...

— No?...—zapytał Piotr.—Powiedz, o co ci poszło, rzecz się wyjaśni, pogodzicie się i razem pójdziecie na duszmana...

— I!...—odparł Nikoła, dłoń podnosząc. Na duszmana ja pójdę i może Pan Bóg da, że mnie Turcy zabiją!... Ale... godzić się z nim nie chcę... Niech sprawę między nami rozsądzają... kule tureckie!...

— Cóż to za sprawa?...

— Uhm... — westchnął. Nie będę o niej ani mówił, ani myślał... Stojanowi folguję dlatego tylko, że na kule tureckie pójdzie!

— W Ruszczuku więc nie zostaniesz?...

— Posyłaj mnie, gdzie chcesz.

— Nie gdzie chcę ja, ale gdzie wymaga potrzeba... — odparł Piotr. Jeden z was apostołował w Bulgarii wschodniej, drugi w zachodniej i jeden i drugi zgromadził wiadomości, które, zestawione z wiadomościami z okolic innych, dadzą wskazówki, potrzebne do uplanowania wojny narodowej... Wy teraz nie rozporządzacie sobą... Ponieważ uniknęliście szczęśliwie rąk tureckich, nie godzi się więc wam ani jednemu, ani drugiemu igrać słowami, w których zgromadzone są wskazówki... Będziecie igrali, gdy wojownikami zostanieiecie.

— Wojownikiem ja będę!...—krzyknął Nikola.

— Będziesz...

— Hi ha!...

— Na Piotra skoczył i w uściski go pochwycił.

— Podajże rękę jemu... rzekł ten ostatni, na Stojana wskazując, gdy go Nikola z uścisków puścił.

— Jemu?...—zawahał się. — Nie!... Pomiędzy nim a mną stoi... a... Gadać nie chcę... Jeżeli obaj z kaugi cało i zdrowo wyjdziemy, natenczas się z nim rozgadamy... Staniemy jeden naprzeciwko drugiego z rewolwerami i będziemy do siebie strzelali dopóty, aż jeden na ziemię się zwali i więcej nie powstanie...

— Na!...—odezwał się Stojan i dodał z lekkim żartu oddźwiękiem:—Wówczas mi jednak powiesz, nim do siebie strzelać zaczniemy, o co ci chodzi.

— Powiem... oho!... powiem...

— Tymczasem wieczora czekajcie i starajcie się nie zjeść jeden drugiego... — odezwał się Piotr. Do jedzenia macie posiłek, który dla was Anka przysposobiła i przezemnie przysłała. Wieczorem przyjdę, będę miał wam co nieco do przekazania. Zdrowi zostawajcie...

— Z Bogiem...—powiedzieli razem Stojan i Nikola.

Nikola został; Stojan odprowadził Piotra, który zapytał go:

— Coś ty mu zrobił?

— Nie wiem... — odparł zapytany. Przypominam sobie wszystkie, jakie z nim toczyłem rozmowy, przyczyny odkryć nie mogę...

— Hm?... *Cherchez la femme*... Nie mówiliście wy o niewiastach?

— Mówiliśmy!..,

— No?...—zapytał.

— Ale w ogrodzie... Potemysmy się do studni spuścili i Nikola mi jak najspokojniej, jaknajlepiej i jaknajprzyjaźniej o podziemiu opowiadał... Nimem zasnął, uważałem, że był on jakiś niby nieswój... Raki pić nie chciał i na pytania mi nie odpowiadał... Nie zważałem jednak na to... Sam spać chciałem; myślałem, że i jego senność ogarnia.

— Czy do niego nie przystąpiło?...

Przypuszczenia tego sprawdzić nie było można. Rzecz pozostała w zawieszeniu. Stojan, odprowadziwszy Piotra do studni, powrócił do niszy, w której znalazł kobiałkę, a w niej wiktuały w doborze i obfitości, świadczących o troskliwości tej, co się przysposobieniem onych zajmowała. Miał ochotę Nikołą wezwać; lecz jak tu chleb łamać z człowiekiem, co taką nieprzyjazną przybrał postawę? Zdecydował się więc spożywać dary Boże sam, miarkując się tak, ażeby połowę towarzyszowi zostawić. Do jedzenia się zabrał, podjadł sobie należycie i zostawił nie połowę, ale trzy ćwierci, taka tego była obfitość.

Nikoła nie przychodził.

Stojan, podjadłszy sobie, a nie mając nic lepszego do czynienia, jedną ze świec, których kilka w kobiałce znalazł, zapalił i poszedł z nią, celem zwiedzenia podziemia. Zwiedzając, żałował, że się nie oddawał studjom archeologicznym i nie umiał wedle rodzaju muru, gatunku cementu i sposobu ociosywania kamieni oznaczać epoki, od której się ta budowla podziemna datuje. Pewnym był jeno, że nie Turcy ją sporządzili. Turcy w murowanie się nie wdają, zaznaczając przez to, iż w czasach największej swojej państwowej potęgi nie wierzyli w trwałość wytworów swoich politycznych. Fabrykowali państwo na poczekaniu i wśród fabrykantów państwowych tureccy tylko mężowie stanu odznaczały się trafnością pojmowania rzeczy. Nie oni przeto grube te mury w ziemię zapuścili, otwierając korytarze i sale. Tego jednego Stojan był pewny; zresztą oglądał, przypatrywał się, napisów szukał i zdawało mu się, że je

pod pleśnią odnajdywał, przekonywał się jednak, że to mu się tylko zdawało. Ani na ścianach, ani na słupach napisów nie było żadnych. Poodkopywał jeno tu i owdzie ślady ognisk, czerepy gliniane i kości, świadczące, że tu ludzie przebywali. Znalazł stłuczony dzbanek, taki sam zupełnie, jakich Turcy używają; wśród kości znajdował baranie, jagnięce, największej jednak ptasich, pomieszanych z pierzem w obfitości ogromnej. Zastanawiały go szczególniejszy skrzydła i łepki kurze, kaczę i gęsie, noszące na sobie świadectwo daty, całę świeżej.

— Zkąd się to tu wzięło?...

Zagadki tej rozwiązać nie umiał. Człowiekowi, co się myśliwstwem nie trudnił, domyślić się było niełatwo, że tu lisy mieszkaly i wyniosły się, spłoszone przez Piotra i Nikołą. Nikołąby mu rzecz tę wyjaśnił, ale z nim teraz gadania nie było. A przecie, gdy Stojan po długiem, długiem chodzeniu, do niszy, w której latarka i kobiałka pozostały, wrócił, poznał, że Nikoła niszę odwiedzał. Głód go sprowadził. Zapasy znalazł przepołowione, wino doszczętnie wypite.

— Gniew mu, jak widzę, apetyt i pragnienie zdwoił...—rzekł sam do siebie i dodał: Musi być jednak późno...

Dowiedzieć się o porze dnia łatwo było przy otworze zewnętrznym, z którego się świat przedstawiał niby na dłoni. Stojan atoli, w przypuszczeniu, że otwór ów zajmuje Nikoła i nie chcąc mu się nastroć, udał się w stronę przeciwną ku studni, celem spojrzenia z głębi jej na niebo. Pochód nie zabrał mu czasu dużo. Świecę, nie dochodząc, w szczelinę wot-

knął, ostrożnie się zbliżył i, o mur się, oparłszy, głowę wychylił. W górze ukazało mu się niebo jasne, świadczące, że słońce się jeszcze za widnokregiem nie ukryło, ale zarazem na błękiecie pokazały się gwiazdy. Białe były, błyszczwały jednak.

— Gwiazdy?...—rzekł sam do siebie tonem zdziwienia.—Co to znaczy?... Same dziś mnie spotykają dziwy: niewiadomo z jakiego powodu, gniew Nikoły i w dzień gwiazdy...

Zjawisko to, którego racya była mu nieznaną, żywo go zajęło. Głowę wychylał, w górę patrzył, gwiazdy coraz to nowe odkrywał i odkrył coś jeszcze innego, aniżeli gwiazdy. Nagle zjawiło się oblicze dziewczyny. Zamiast gwiazd wysunęła się oczu para, w głąb studni wpatrzona. W pierwszej ukazania się zjawiska tego chwili Stojan głowę cofnął, lecz wnet ją wychylił, gdy rozpoznał: Ankę.

— Tyś to?...—zapytał z dołu.

— Stojan?...—przyszedeł głos echowy z góry.

— A no... ja!...

— A ja... ja!...—odpowiedziała dziewczyna.

— Widzę ciebie i poznaję... Przyszłaś?...

— Przychodzę tu dziś raz dwudziesty może...

Jakże tam tobie?...

— Nic... Wolałbym być jednak na ziemi, aniżeli pod ziemią...

— Nie brak ci tam czego?...

— Brak mi ciebie!... ciebie!...—powtórzył z naciśkiem w głosie.

Chwilkę Anka się nie odzywała. Odezwała się wreszcie:

— Stojanie!...

— Anko!...,—odpowiedział.

— Odjedziesz na tamtą stronę... do Rumunii...

I ja się tam wybieram...

— Kiedy?... po co?...

— Kiedy?... nie wiem... Po co?... do... do...

Wyraz następny powiedziała tak cicho, że echo onego do słuchu Stojana nie doszło.

— Dokąd?...—zapytał.

— Do...—i znów nie odpowiedziała.

— Powiedz wyraźnie, ażebym się mógł spotkać z tobą.

— O! w Rumunii nie spotkałbyś się ze mną.

— Czemu?

— Monaster...

— Do monasteru chcesz wstąpić?

— Tak... niby...—wyjąkała.

— Nie rób ty tego!... o! nie rób!... proszę ciebie!... Pozostań już lepiej w Bulgaryi i poczekaj na mnie.

— Czy długo?...—zapytała.

— Śpieszyć się będę!...—zawołał z przyciskiem.

— Spiesz się!... o!...

— Chwil kilka milczeli; Anka się odwróciła i znów się nad studnią nachyliła.

— Czegoś się odwracała?

— Zdawało mi się, że ktoś idzie.

— Niema nikogo?

— Nikogo.

— Powiedz—że mi, czy to dzień, czy noc?

— Dzień...—odrzekła.

— A popatrz na niebo.

Anka w górę oczy wzniosła i znów je w studnię zwróciła.

— Widziałś gwiazdy?...

— Nie...—odpowiedziała. — Przecie słońce nie zaszło jeszcze.

— Czemuż ja gwiazdy widzę!.. Ty się mylisz chyba, co do słońca.

— Ależ nie...—upewniała. Nad zachodem stoi, ale jeszcze do zachodu ma drogi trochę.

— Szkoda...—rzekł Stojan i zapytał: W ogrodzie niema nikogo?

— Nikogo...—odrzekła, obejrzawszy się.

— Napewno?

— Napewno.

W chwili tej Stojan wiadro próżne do siebie przyciągnął, wsiadł w nie i wywindował się do góry. Dziewczyna ze zdumieniem patrzyła, jak się do góry podnosił. Zrównał się z obmurowaniem studni i znalazł się obliczem narówni z obliczem Anki, która się trochę odsunęła i z przestrawą wymówiła:

— Matko Boska!

— Cicho...—szepnął młody człowiek.—Słuchaj... Wyszedłem dlatego, ażeby ci powiedzieć, że, Anko, kocham ciebie... kocham... kocham...

Anka ręce do niego wyciągnęła z gestem takim, jakby ręce swoje, a z rękami i siebie Stojanowi oddać chciała. Wnet jednak, niby się upamiętała, zawołała:

— Jeszcze kto ciebie zobaczy!

— Odpowiedz mi jeno na to, com ci powiedział, a ja wnet zniknę w głębi.

— Odpowiem ci, ale...—obejrzała się, oczy spuściła i szepnęła: Kocham i ja.

— I będziesz na mnie czekała?

— Będę...—odrzekła i znów się obejrzała.

Od strony domu słyszeć się dało wołanie:

— Anko!

— Kryj się...—krzyknęła.

— Nachyl się nademną i odeślij mnie... z pocałunkiem.

Dziewczyna się po za obmurowanie nachyliła; usta jej z ustami Stojana się spoily; wołanie się powtórzyło i Anka, wciąż nachylona, widziała spuszczonego się w głąbie Stojana, który, z wiadra wyszedłszy, zawołał do niej:

— Bądź zdrowa!

Ona znikła. On odszedł, wnet jednak powrócił; znów odszedł, znów powrócił; odchodzenie i powracanie powtarzał, lecz się już Anki nie doczekał. Zamiast niej oglądał gwiazdy, które stawały się coraz to wyraźniejsze, w końcu się roziskrzyły mocniej, aniżeli zwyczajnie. Obserwacya zjawiska tego naprowadziłaby go na domysł, że przyczyną onego jest studnia, gdyby nie dystrakcyja, jaką mu sprawiała dziewczyna. Na gwiazdy patrząc, o niej myślał, ona mu świeciła jaśniej, aniżeli wszystkie światła niebieskie; przez nią otwierało się dla niego niebo.

— Czemuż nie przychodzi!... — mówił sam do siebie.

Domyślał się nocy na świecie i w głowie począł mu się układać zamiar wywindowania się ze studni,

celem spędzenia chwil kilku w towarzystwie, w którym gwiazda jego świeci. Zamiaru tego jednak do skutku doprowadzić nie mógł. Przeszkodził mu Piotr, który się spuścił do podziemia z paczką depesz i z zapasem wiadomości ciekawych i ważnych.

— Gdzie Nikola?... — były słowa jego pierwsze.

— Nie widziałem go...—odpowiedział Stojan.

— Spodziewać się należy, że się na ciebie dąsać przestanie, gdy usłyszysz, co wam do powiedzenia mam.

— Co?

— Powiem wam obu razem, tobie zaś to jeno oznajmię, że z twojej przyczyny o mało się nie wydała tajemnica studni.

— Jakim sposobem?.. — zapytał Stojan z akcentem.

— Takim, że Anka od niej przez dzień cały prawie nie odchodziła i żeś się ty nad murem pokazał.

— Czy kto widział?

— Widziała stara Tyrna, co nas wszystkich niańczyła i to szczęście, że ona, nie kto inny.

— Nie wyda?

— Wmówić w siebie dała, że się jej wydało. Matka Ankę polajała i tak się to skończyło; ale moglibyśmy mieć kłopot niemały, gdyby nie to, że stara Tyrna nie dowidzi, więc w nią wmówić było łatwo. Nie spodziewałem się jednak po tobie — dodał tonem wymówki—żebyś był tak nieostrożny.

Nikola znajdował się przy otworze zewnętrznym.

— No — zaczął Piotr, gdy wobec niego stanął — spodziewam się, że się na Stojana gniewać przestasz. Serbia Turcyi wojnę wydała.

— Serbial!... Turcyi!... — krzyknęli głosem jednym Stojan i Nikoła.

Był to okrzyk uradowania nieopisanego, uradowania, które zapomnieć kazało jednemu o Ance, drugiemu o Ilence. O czembo wobec wiadomości takiej nie zapomnieć można było!

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



por. 300,

I-III 90, -







WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

230783

Biblioteka WSP Kielce



0084990